

lata i tam urodziła się im córeczka.

Wówczas lady Gore - Booth zaczęła nalegać, aby młodzi osiedlili się w Irlandji. „Bohème’a“ Konstancji była jej solą w oku. Kupiła dla córki dom w Dublinie. Gdy pp. Markiewiczowie przyjechali, przyjęło ich w stolicy bardzo serdecznie. Życie towarzyskie było wielce ożywione, wice-król prowadził dom otwarty. P. Kazimierz zaprzyjaźnił się serdecznie ze swym szwagrem, sir Jocelynem, gospodarującym w historycznej rezydencji Liss-a-dell w Sligo. Łączyła ich wspólna pasja do polowania. I w dublińskim arystokratycznym środowisku czuł się ukraiński szlachcic nienajgorzej. Umiał brać „radość życia“, gdzie się zdarzyła, z „cygana“ przeistaczał się w światowca i sportsmena i vice-versa.

Zato pani Konstancja, po pewnym czasie, zaczęła się dławić. Z trudem wydarła się ze świata konwenansów, a oto ugrzęzła w nim na nowo, przeczuwała zaś, że nurt życia narodu płynie gdzieś innym utajonem dla niej korytem.

Odkrył go jej człowiek niezwykły, którego spotkanie wywarło wpływ wielki na jej losy. George Russell, znany w świecie literackim pod oryginalnym pseudonimem A. E. czytaj (Ej).

Oto co pisze o nim Simone Tery, francuska dziennikarka:

„Mystyk, poeta, malarz, ekonomista, wywierał na ludzi wpływ wprost magnetyczny, miał przedziwny dar wydobywania z duszy człowieka tego, co w niej było naj-
nin Markiewiczowej duszę irlandzki.

A. E. zbudził w Konstancji Du-



nin Markiewiczowej duszę irlandzki. Otworzył przed nią drzwi czarodziejskiego świata legend i zamierzchłej bohaterskiej historii *on to*, z W. G. Yeats'em i kilku innymi młodymi poetami, zapoczątkowali ten wspaniały renesans gaelicki, który poprzedził ruch niepodległościowy i wycisnął na nim swoiste poetyczne piękno. To wszystko było dla młodej kobiety rewelacją. Kochała ona zawsze swój kraj rodzinny i jego biedny lud, ale nie miała należytego zrozumienia dla całego ogromu dziejowej tragedji Erynu. (p. Kazimierz był za czasów paryskich większym „irlandofilem“, niż jego żona, gdyż brał sprawę z polskiego punktu widzenia).

Russell wprowadził w ten nowy świat oboje Markiewiczów. Ukraiński szlachcic poczuł się odrazu, jak u siebie w domu. Jego kresowa fantazja zgodziła się doskonale z szalonemi trochę, reformatorskimi planami młodych działaczy. Największą troską tychże było na razie stworzenie Narodowego Teatru. Markiewicz porzucił salony i polowania, odłożył nawet pendzel, aby stać się dramaturgiem — w języku angielskim.

Gdyż staroirlandzki język póź-

niej dopiero doczekał się wskrzeszenia.

Dzieje tego teatru (Abbey-theatre) to cały romans. Trzeba było takich „gwałtowników“ jak Russell, Yeats, Synge, tak ofiarnych dusz jak lady Gregory, aby stworzyć z niczego prawie instytucję, która zrewolucjonizowała spokojny, cichy Dublin. Nietylko z rządową cenzurą trzeba było walczyć. Oburzała się pruderja i drażliwość katolicka. Nawet „Księżniczka Kasia“, idealna czysta kreacja Yeatsa budziła sprzeciwy, cóż dopiero chłopskie realistyczne sztuki Synge'a? Mimo wszystko dzieło zostało dokonane, powstał teatr, do którego mógł pójść każdy wieśniak i zrozumieć, co mu ze sceny podają. Dla tej publiczności trzeba było, oprócz dzieł czystej poezji, komponować repertuar wychowawczy, uczyć historii i patriotyzmu.

Więc kiedy zażądano na jakąś rocznicę przedstawienia sztuki popularnej, bohaterskiej, Kazimierz Markiewicz napisał w przeciągu kilku dni dramat p. t. „*In memory of the death*“ (Pamięci poległych), osnuty na tle powstania r. 1798, jak się wziął do tego, sam mi opowiadał.

(1). c. n.)



Jeziro w Killanney

Pamiętnik Chłopki

Instytut Gospodarstwa Społecznego, zachęcony powodzeniem przeprowadzonego w końcu 1952 roku wśród bezrobotnych konkursu na Pamiętnik Bezrobotnego (774 odpowiedzi), postanowił również odwołać się do konkursu celem zebrania materiałów, któreby rzuciły nieco światła na warunki, wśród jakich żyją po kilku latach kryzysu gospodarczego włościanie.

Przystępując do konkursu na Pamiętnik Chłopa jesienią 1953 roku, Instytut naogół nie spodziewał się zbyt obfitego plonu ze swojej inicjatywy przedewszystkiem z powodu trudności dotarcia na wieś. Instytut odwołał się do pomocy prasy przedewszystkiem rolniczej, a nadto usiłował wykorzystać organizacje oświatowo-społeczne, działające na terenie wiejskim. Naprzekór oczekiwaniom na apel Instytutu posypały się odpowiedzi nawet z najbardziej odciętych od świata zakątków. Chłop, nękany skutkami kryzysu gospodarczego, jał wywnętrzać się ze swoich trosk i pragnień. Ogółem nadeszło 498 pamiętników.

Najwięcej pamiętników nadeszło z województw środkowych (252 pamiętniki) i południowych (159 pamiętników). Najslabiej odezwały się województwa wschodnie (48 pamiętników) i zachodnie (59 pamiętników). Gdy się przegląda pamiętniki, przesuwa się przed nami właściwości poszczególnych dzielnic i okolic kraju. Szczególnie gdy chodzi o właściwości językowe, to nie brak przyczynków w całej pełni noszących piętno gwary miejscowej.

Wśród uczestników konkursu, którzy podali wiadomość o rozmiarach swoich gospodarstw, przeważa element włościański mniej zamożny, bo aż 81% ogółu posiada warsztaty rolne o obszarze poniżej 10 hektarów.

Rozpiętość wieku wśród pamiętnikarzy jest znaczna: od 15 do 80 lat.

W konkursie wzięli udział przedewszystkiem ojcowie rodzin, a więc ludzie poniekąd zrównoważeni i trzeźwo patrzący na świat. (Autorami pamiętników są prawie wyłącznie mężczyźni, wśród uczestników konkursu znajduje się zaledwie 17 kobiet).

Większość pamiętników jest przepelniona opisami przeżyć autorów na wojnie. Jedni walczyli w armji rosyjskiej, inni niemieckiej lub austriackiej. Wielu walczyło w armji polskiej. Wszystkie te opisy tchną żywością odtwarzanych z pamięci zdarzeń i zadziwiają nieraz wielkim samorodnym talentem naratorskim.

Wielu z uczestników konkursu pozatem przebywało na emigracji. Z tych 75 podało szczegóły o swoim pobycie na obczyźnie.

Z pośród ogólnej liczby 498 pamiętnikarzy 256 podało dokładne dane w sprawie swego wykształcenia: 174 uczęszczało do szkoły elementarnej, 16 do średniej, 11 do zawodowej i 55 wcale nie uczęszczało do szkoły, przytem jest dwóch w tej liczbie analfabetów, którzy swoje pamiętniki dyktowali osobom piśmiennym (w jednym wypadku ojciec synowi).

Cały nadesłany do Instytutu materiał starczyłby na dobrych kilka tomów, to też do umieszczenia w pierwszym tomie wydawnictwa „Pamiętniki chłopów“ przeznaczono tylko 51 lepszych, wybranych pamiętników, które jednak całkowicie odtwarzają ciężkie warunki w jakich znalazła się wieś.

Rozpoczynamy poniżej druk pamiętnika żony gospodarza piętnastomorgowego w powiecie warszawskim.

Przeczytawszy w tygodniku Zielony Sztandar artykuł p. t. Konkurs na „Pamiętnik Chłopa“ pozazdrościłam temu chłopu, że będzie on miał okazję wyłożyć przed kimś swoje bóle i troski, że będzie mógł otworzyć przed kimś swoje serce i myśli, wyznać, co mu dolega, jak żyje, pracuje i jak sobie radzi w tych ciężkich czasach. Podczas gdy o nas kobietach wiejskich, żonach drobnych rolników nikt się nie zatroszczy, nikt się o nic nie zapyta, postanowiłam w imieniu już nie tysiąca, ale chyba miliona tych zapomnianych istot napisać coś. Niech więc pomiędzy tyłu,

jak się spodziewam pamiętnikami chłopów znajdzie się choć jeden pamiętnik chłopki.

Gdybym była kobietą uczoną, to napisałabym całe ogromne dzieło o niedoli wiejskiej kobiety, ale niestety, jestem tylko taką sobie zwykłą przeciętną kobieciną wiejską. Nie kończyłam żadnych szkół, jestem samoukiem, nie umiem poprostu nawet wyrazić tego, co myślę, a myślę dużo i chciałabym, żeby w przyszłości choć cośkolwiek nasz los się poprawił. Doprawdy my, wieśniaczki, pod każdym względem jesteśmy upośledzone, podczas gdy kobiety innych stanów inteligentniejszych, nawet robotniczych korzystają z przeróżnych przysługujących im praw, o których my na wsi nawet pojęcia nie mamy. Weźmy naprzykład małżeństwo. Jeżeli pomiędzy ludźmi uczonymi i inteligentnymi znajdują się mężowie tyrani o potwornym charakterze, to cóż dopiero na wsi pomiędzy prostakami. W tym wypadku kobieta w miescie jakoś sobie poradzi i znajdzie jakieś prawo, czy to rozwód czy separacja, albo poprostu porzuci męża łajdaka i jakoś sobie w życiu radzi. Inaczej natomiast bywa na wsi. Tutaj, jeżeli mężczyzna się żeni, to uważa kobietę za wyłączną swoją własność i nikt mu nie zabroni robić z nią, co mu się tylko podoba. Zresztą kobieta na wsi jest na szukanie swoich praw za religijna i choć taki mąż znęca się w najokrutniejszy sposób nad nią, ona to uważa za dopust Boży, znosi to wszystko z podziwu godną rezygnacją i czeka cierpliwie, aż ją śmierć z tych mąk wyzwoli. Również kobiety wiejskie w przeciwieństwie do inteligencji nie mają sposobu w ograniczeniu liczby dzieci i taka nieszczęsna zapracowana kobiecina jest poprostu niewolnicą swego powołania od wczesnej młodości do starości i pomimo ciężkiej pracy na roli ciągle jest obarczona wychowaniem dzieci w najtrudniejszych właśnie warunkach.

Chcąc dać wyobrażenie, jak wygląda życie wiejskiej kobiety, jej dzieciństwo, panieństwo i dalszy okres życia, pragnę właśnie dać swój pamiętnik choćby pokrótce spisany, ale najszczerzy. Chcę oddać wierne, co przeżyłam od zarania życia w ciągu trzydziestu kilku lat. Ci, co czytać będą te moje słowa drżącą od pracy ręką kreślone, niech wiedzą, że piszę najszczerzą prawdę, tak jak na spowiedzi i nie ubiegam się o żadną nagrodę, bo gdzież mnie tam do tego nieuczonej kobiecie! Chcę tylko współczucia i zrozumienia. Chcę, by nareszcie zrozumieli wszyscy, że my, kobiety wiejskie, na których barki spadł ogromny ciężar obowiązku, stokroć cięższy, jak na mężczyzn, wołamy o swoje prawa! Dopominamy się poprawy losu, wołamy o ulgi! Bo gdy tak dalej pójdzie, to zabraknie zupełnie zdrowych matek, zabraknie silnych gospodyń, a w tym wypadku każdy mi przyzna, że może zabraknąć Polski!

Urodziłam się w roku 1900. Rodzice moi bvli dośyć zamożni gospodarze, posiadali włókę gruntu, tylko sporo zadłużonego na spłaty rodzinne. Chcąc „wyleźć“ jak najprędzej z długu, pracowali oboje ponad siły, a szczególnie matka. To też, o ile tylko zapamiętam, (a tym zmysłem szczególnie mnie Pan Bóg obdarzył i od trzech lat doskonale wszystko pamiętam) ciągle od najmłodszych lat przyzwyczajona bvłam do pracy. Już jako czteroletnia dziewczynka posługiwałam, pasąc gęsi potem krowy, a w domu widząc, jak biedne matczyńsko męczy się, nie mogąc dać sobie rady z dziećmi, a było ich rzetelnie „co rok to prorok“, pomagałam jej, jako że byłam najstarsza, niańczyć drobiazg, choć prawdę powiedziałszy samejby mnie

się nianka przydała, bo cóż to za piastunka z pięcioletniego berbecia. A jednak, ile tylko starczyło sił, dźwigałam za chustką brata czy siostrę i przytem pasłam jeszcze krowy. Gdy miałam lat sześć, to czułam się zupełnie jak dorosła osoba, a to z tego powodu, że matka wyjeżdżając do miasta (a jeździła dwa razy w tygodniu) nie brała do domu kobiety, tylko ja ją zastępowałam. Pilnowałam już i bawiłam sama dzieci, gotowałam jeść, sprzątałam, zmywałam, a nawet próbowałam doić krowy. Nadmienić muszę, że wyciągając wodę ze studni i przy kuchni posługiwałam się stołkiem. Zresztą jak tam było tak było i młode kostki dobrze nieraz

bolały i ręce były poparzone, ale nikt o tem nie wiedział. Najwyższa była nagroda za to, gdy matusia przyjechała, była zadowolona, pochwaliła, a w nagrodę dała bułkę. W tym też czasie zmysł mój zaczął obejmować szersze horyzonty, o uszy moje zaczęły się objajać takie wyrazy, jak ucisk, niewola, rewolucja; był to bowiem pamiętny piąty rok. Nie mogłam w swojej małej głowie sobie pomieścić i wyobrazić, poco ciągle nachodzą strażnicy i robiąc rewizję czegoś szukają, zabierali nawet kilka razy ojca z sobą, a jednego razu to pamiętam, jak nocowaliśmy drząc z zimna w polu w dużym łubinie. Pytając się matki, co to wszystko znaczy, odpowiedziała mi z płaczem, że jestem jeszcze za mała, żeby zrozumieć, a ojca to nawet bałam się zapytać, bo chodził ciągle zły i ponury.

Dopiero wszystko się wyjaśniło, gdy przyjechał do nas z Podlasia stary siwiuteńki jak gołabek dziadek (ojciec pochodził z Podlasia), od niego dopiero dowiedziałam się o nieszczęsnym losie naszej Ojczyzny. On wyflumaczył nam niewolę, a ponieważ sam był uczestnikiem powstania, przeto opowiedział nam cały jego przebieg. Wogóle od Niego poznałam całą historję Polski. Często w długi zimowy wieczór okrążaliśmy dziadunia wkoło, a było nas wtedy już pięcioro i prawil nam a opowiadał, jak walczyli i ginęli w walce o niepodległość Ojczyzny jej wierni synowie, a On sam jak cudem prawie ocalał i uciekł z pod szubienicy. Do dziś doskonale pamiętam te prorocze przez niego wypowiedziane słowa:

„Wnusię moje kochane, ja już tego nie doczekam, ale wy doczekacie tej radosnej chwili, że Polska nasza kochana zmartwychwstanie i wolna będzie! Ale ci, co Nią rządzić będą, nie pomni krwi przelanej i tylu cierpień całego narodu. Nie zechcą poprowadzić rządu sprawiedliwie, będzie zawsze uciskał bogaty biednego. I nigdy nie będzie chłopu w Polsce dobrze, nigdy on nie znajdzie swoich praw, dopóki rządzić będą wielcy panowie, bo oni dobro swoje i interes stawiają nawet wyżej, niż dobro Ojczyzny, a nędza chłopska nigdy ich nie obchodzi. I do tego może dojść, co nie daj Boże, że oni znów Polskę zgubią, ale wv wnusię stójcie zawsze wiernie na straży i choćbyście nawet życiem przyplacić mieli, to gińcie, jako Polacy“.

Po tem wszystkim, kładąc się spać, modliłam się o wolność Ojczyzny i za Tych, co dla Niej cierpieli i ginęli. A że byłam dzieckiem, (jak jak mawiała matka ogromnie załośliwym to jest wrażliwym), często długo w noc nie mogłam usnąć, tylko chciało mi się tak ogromnie płakać, i pocichutku lałam łzy tak obficie, aż poduszka była mokra. Pewnego razu, gdy zaczęłam już siódmy rok, zaczęłam prosić matusi, żeby mnie nauczyła czytać



RADION

zachowuje miękkość wełny!

RADION
sam pierze

- Wystarczy
1. Rozpuścić Radion w zimnej wodzie
 2. W zimnej wodzie prać
 3. W zimnej wodzie płukać

98-33

(ze wszystkim zawsze zwracałam się do Niej, bo ojciec był ogromnie prędko, narwany i nieprzystępny), ale mateczko jak zwykle zapracowane nie miała nigdy czasu, więc napomknęłam o tem ojcu, więc ojciec będąc w mieście kupił nowiutki piękny elementarz „Promyka“ i dając mi go, oświadczył: „Przejrzyj se go i szykuj się, bo dzisiaj wieczór będę cię uczył czytać“. Gdy nadszedł wieczór, nieśmiało podchodzę do ojca z elementarzem. Ojciec wziął ze stołu duże i ciężkie nożyce i powiada: „To będzie wskazówka“. Zaczęła się lekcja, do dziś ją pamiętam. Nie licząc guzów i sińców, najgorzej żal mi było mego nowiutkiego elementarza, bo cały był pochlapany kroplami krwi. Zresztą co było to było, ale nauczyłam się przez jeden wieczór tyle, że teraz cały rok dziecko chodzi do szkoły i tyle nie umie. Tak się starałam, żeby ta „lekcja“ więcej się nie powtórzyła i za tydzień przeczytałam ojcu na głos cały elementarz. Podobnie poszło i z pisaniem i na tem „edukacja“ moja została skończona. Następnie musiałam objąć obowiązek „nauczycielki“ nad młodszem rodzeństwem, bo tutaj ojciec odgrywał rolę inspektora tylko, i to srogięgo, co mnie to kosztowało, to Bóg jeden tylko wie, zanim sześcioro rodzeństwa nauczyłam czytać i jako — tako pisać. Do tego roboty przybywało coraz więcej, bo mateczko zaczęło podupadać na zdrowiu. Gdy miałam lat osiem, to już nas było siedmioro, a matka chora, na moje barki spadła już wszystka robota, gotowanie, pranie, dojenie krów, doglądanie dzieci, naprawianie odzieży, a także i roboty w polu.

Widząc, jak biedna matka chociaż chora ostatkiem się rwie się do pracy, chociaż przy najmniejszym schyleniu straszny kaszel ją dusi i krew gardłem się rzuca, rozpacz mnie ogarniała, gdy pomyślałam, że może umrzeć. Prosiłam ją na wszystko, żeby już nie nie robiła, że ja we wszystkim już ją zastąpię. Serce pękało mi z bólu, gdy widziałam ją taką chorą, nędzną i bladą. Pracowałam ponad siły, żeby Ona mogła poleżeć. Chwilami zdawało mi się, że padnę, po całodziennej pracy, jak na moje wątłe dziewczęce siły strasznie ciężkiej, całe noce przepędzałam we łzach i modląc się o zdrowie matki. W takich warunkach upłynęło całe trzy lata. Praca ponad siły w ciągłej obawie o życie matki, której zdrowie z tygodnia na tydzień się pogarszało i nie było widoków poprawy. W końcu, jak to zwykle na wsi bywa, gdy już śmierć w oczy zagłada, nareszcie ojciec zdecydował się odwieźć ją do szpitala, ale tylko poto, żeby dowiedzieć się, czy już niema ratunku i bliski jest koniec, bo ręk na płucach już w ostatniem stadjum. Rozpacz moja nie miała granic! Straciłam poprostu wiarę w Boga, że może być taki niesprawiedliwy. (D.c.n.)

Polskie graficzki we Florencji

W roku ubiegłym polskie graficzki brały udział we florenckiej międzynarodowej wystawie „La Vergina Maria vista dalla donna“. Ze względu na temat i spóźnioną wiadomość o terminie udział Polek był tylko ograniczony. Korzystając jednak z nawiązanych nici, jedna z zeszłorocznych laureatek tej wystawy przy wydatnej pomocy Polskiego Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych i znanego, a zamieszkałego we Florencji drukarza artysty p. Samuela Tyszkiewicza, postarała



Zofja Sznuk-Koskowska: „Jelenie“.

się, aby urządzający w roku ubiegłym wystawę klub kobiecy „Lyceum“, w tym roku sale swoje odstąpił na zbiorową wystawę graficzek polskich.



Wanda Telakowska: „Przystań“.



Wikotrja J. Goryńska: „Koty sjamskie“.

Wystawa odbyła się w lutym i cieszyła się wielką frekwencją i powodzeniem.

Otwarcie wystawy poprzedziła prelekcja p. Tyszkiewicza, który w doskonałym przemówieniu nie tylko zobrazował działalność wystawiających artystek i podał ich dane biograficzne, ale też zanalizował różnorakie prądy współczesnej sztuki polskiej i jej charakterystyczne cechy.

W wystawie wzięło udział 22 artystki, które



Zofja Stankiewicz: „Sieci“.

nadesłały 156 prac-drzeworytów, akwafort, akwafort, akwafort, vernis moux etc. Sprzedano prace Duninówny, Goryńskiej, Stankiewiczówny, Starzeńskiej, Sznuk-Koskowskiej.

Nagroda była tylko jedna, z wykluczeniem laureatek zeszłorocznych. Przyznano ją p. Wandzie Telakowskiej za barwny drzeworyt i jego walory charakterystyczne drzeworytnicze, bez impresji malarskich, stanowiących urok innych, świetnych zresztą drzeworytów kolorowych.



Marja Sieraczyńska: „Bociany“.



Janina Konarska: „Narciarze“.



Marja Dunin: „Karpaty“.



Marja Dunin: „Polesie“.

Prawo w życiu codziennem

ŚRODKI ZABEZPIEZAJĄCE.

„Środki zabezpieczające przewidziane w nowym polskim kodeksie karnym...” „środki zabezpieczające stosowane przez sądy włoskie, hiszpańskie...” — coraz częściej spotykamy się z takimi powiedzeniami. O czym w nich mowa, co oznacza ten nowy termin „środki zabezpieczające”?

Ażeby na to pytanie właściwie odpowiedzieć, trzeba przynajmniej pobieżnie przypomnieć ewolucję prawa karnego w ostatnich kilku stuleciach. Prawo karne późnego średniowiecza i pierwszych wieków nowożytnych starało się przerazić przestępcę okrucieństwem wymyślnych kar i grozą procesu inkwizycyjnego. Przeróżne tortury w postępowaniu dowodowym, kwalifikowane kary śmierci (ścięcie, powieszenie, zakopanie żywcem, spalenie na stosie, zalanie gardła roztopionym metalem, bicie kotłem, wbicie na pał i t. d.), liczne kary kaleczące i hańbiące, kary zbiorowe (orzekanie w stosunku do całej — niewinnej w zasadzie — rodziny przestępcy) samowola władzy w uznaniu czynów za przestępstwo, lettres de cachet — oto najbardziej charakterystyczne cechy tego okresu.

Wielka Rewolucja francuska rozpoczęła klasyczny okres prawa karnego. Określano czyny będące przestępstwami i reguły proceduralne, usunięto tortury i kary powodujące fizyczne udręczenia, w prowadzono jednolitą karę śmierci. Kodeks karny uznano za wielką kartę swobód obywatelskich, co w nim nie było zakazane, nie było przestępstwem, nie mogło ulegać żadnej karze: nulla poena sine lege. Rodzaje i rozmiary kary zostały również ściśle określone dla każdego przestępstwa. Starano się możliwie dokładnie zważyć moralną winę przestępcy oraz zło spełnionego przestępstwa i wymierzyć sprawiedliwą karę. Przez sprawiedliwą zaś rozumiano karę wyrządzającą przestępcy tyle zła, ile on wyrządził przestępstwem pokrzywionemu względnie społeczeństwu. Kara wymierzana przestępcy stanowiła moralną przeciwwagę zła wyrządzonego przestępstwem. Indywidualnie przestępca był oczyszczony, bo odcierpiał akurat taką samą porcję zła, jaką wyrządził, społecznie równowaga była zachowana, bo przestępstwo było niwelowane równą mu karą; sprawiedliwości stawało się zadość.

Rychło jednak okazało się, że celem prawa karnego nie może być realizowanie abstrakcyjnej sprawiedliwości. Mimo bowiem, że katalogi kodeksowe obejmowały niezliczone ilości przestępstw, zróżnicowanych do najdrobniejszych szczegółów, że sędziowie dochodzili do perfekcji i niebywalej rutyny w zawodowym wymierzaniu odwetu społecznego, że rozróżniano więzienie ciężkie i zwykłe, areszt ścisły i prosty, kary obstrzone i złagodzone, że sądzono i karano sprawiedliwie wszelkie przestępstwa — przestępców było coraz więcej. Zastraszający wzrost recydywy i przestępczości dziejącej we wszystkich krajach jaszkrawo dowodził błędności i szkodliwości dotychczasowych metod społecznej walki z przestępstwem. Mogłoby się wydawać, że im sprawniej działał aparat wymiaru sprawiedliwości, im więcej było wyroków skazujących, tem bardziej powiększała się liczba przestępców. Kara rodziła zbrodnię.

Nowe metody zwalczania przestępczości stworzyła pozytywna szkoła prawa karnego. Charakterystyczną cechą tej szkoły było zerwanie z metafizyką karnoprawną. Sąd o winie moralnej przestępcy i o sprawiedliwej karze nie należy do prawa, lecz do etyki czy religii. Prawo karne za cel sobie stawia nie wymierzanie sprawiedliwości, lecz przeciwdziałanie przestępczości, chronienie społeczeństwa. Dlatego też nie o prawie karnem musimy już mówić lecz o prawie obrony społecznej, prawie walki z przestępczością.

W myśl zasad szkoły pozytywnej spełnione przestępstwo nie jest ani jedynym ani głównym przedmiotem oceny sądu, jest ono tylko symptomem istniejącego ze strony sprawcy niebezpieczeństwa społecznego. Na skutek spełnionego przestępstwa, sąd zajmuje się osobą sprawcy i ocenia stopień groźącego z jego strony niebezpieczeństwa społecznego na podstawie całego dotychczasowego życia sprawcy, stopnia jego rozwoju umysłowego i istotnych właściwości jego charakteru. Wobec przestępcy, u którego stwierdzono istnienie stanu niebezpieczeństwa, sąd stosuje różnego rodzaju środki zabezpieczające przed nim społeczeństwo. Środkami takimi będą zakłady wychowawcze i poprawcze, domy pracy przymusowej dla próżniaków, zakłady lecznicze dla

alkoholików, narkomanów i psychicznie chorych, zakłady dla niepoprawnych recydywistów, zawodowców i nałogowców, kastracja lub sterylizacja przestępców seksualnych, t. zw. kaucja dobrego zachowania się pobierana od zamożniejszych przestępców, okolicznościowych i t. d.

Wszystkie te środki stosowane są pod jednym hasłem: zabezpieczenie społeczeństwa przed przestępcą; nie mają zaś one zupełnie na celu wyrządzenia im jakiegokolwiek dolegliwości, wymierzenia im kary - udręki. Stanowisko to jest z jednej strony bardziej sprawiedliwe w odniesieniu do przestępcy, który często, jeśli nie z reguły, popełnia przestępstwo bez swej winy, wskutek przyczyn od niego niezależnych (chorobowe skłonności przestępcy seksualnego, brak wychowania i złe wpływy środowiskowe oraz trudne położenie ekonomiczne przestępcy przeciwnie), z drugiej zaś bardziej celowe i racjonalne w odniesieniu do społeczeństwa, które nie było należycie chronione przez dotychczasowy system kar odwetowych.

Czas stosowania środka zabezpieczającego nie zależy zupełnie od rodzaju popełnionego przestępstwa i nie może być zgóry określony przez sąd wyrokujący. Przestępca tak długo przebywa w zakładzie zabezpieczającym, jak długo z jego strony istnieje niebezpieczeństwo, jak długo istnieje prawdopodobieństwo, że po opuszczeniu zakładu powróci do przestępczego trybu życia. Dopiero z chwilą stwierdzenia, że niebezpieczeństwo już zupełnie minęło, przestępca może być uwolniony. Tego wymaga zasada zepewnienia należytego bezpieczeństwa społeczeństwa.

Najnowsze kodeksy i projekty karne wobec dwóch wyżej przedstawionych teoryj karno-prawnych zajmują stanowisko kompromisowe. Z jednej bowiem strony trudnym byłoby radykalne przejście od systemu klasycznych kar odwetowych do systemu pozytywistycznych środków celowych, z drugiej zaś jest rzeczą wątpliwą, czy wystarczyłyby środki zabezpieczające, czy nie należałoby obok nich w pewnych wypadkach stosować kar. Kompromis wydaje się wskazany i uzasadniony.

Do takich kompromisowych kodeksów należy również i kodeks karny polski, obowiązujący od 1go września 1932 r. Za zasadniczy śro-

dek represji przyjął on dawną karę (śmierci, więzienia, aresztu lub grzywny). W wypadkach jednak, gdy kara nie wystarcza lub też by-łaby niecelowa, może być ona uzupełniona lub zastąpiona innymi środkami o charakterze zabezpieczającym społeczeństwo jak 1) środki wychowawcze i poprawcze stosowane wobec nieletnich, 2) kary dodatkowe (utrata praw obywatelskich i honorowych, utrata praw rodzicielskich lub opiekuńczych, utrata prawa wykonywania zawodu itp.) wymierzone obok kar zasadniczych i 3) środki zabezpieczające sensu stricto przewidziane w rozdziale XII kodeksu. Do środków tych należą zakłady lecznicze dla przestępców psychicznie chorych, zakłady lecznicze dla alkoholików, domy pracy przymusowej dla przestępców wykazujących wstręt do pracy, zakłady dla niepoprawnych recydywistów, nałogowców i zawodowców.

Z teatrów

„Matolek z Wysp Nieoczekiwanych” Bernarda Shaw, w przekładzie Florjana Sobieniowskiego w teatrze Polskim.

Shaw jest żywą kopalnią niespodzianek, są to jednak prawie zawsze niespodzianki czysto intelektualne. Przeladowanie ostatnich jego sztuk balastem intelektualizmu pogrążyło go katastrofalnie w otchłań nudy. Wbrew oczekiwaniom pierwsza odsłona prologu „Matolka” zaskoczyła widownię żywiołową, choć nieco prymitywną dynamiką sceniczną. Wstrząsający obraz spustoszenia, jakiego klimat tropikalny, a raczej błędne ustosunkowanie się do niego

ludzi białych dokonywa w ich nerwach i mentalności, jest sam w sobie potężnym „memento mori”, wypisanem krwawymi zgłoskami zarówno dla cywilizacji europejskiej, jak dla polityki kolonialnej wielkiego imperjum brytyjskiego.

„Zaczyna się!” — pomyślał każdy z nas, kiedy zasłona zapadła nad pierwszą ofiarą samobójczego strzału. Tym razem jednak to my padliśmy ofiarą genialnego mistyfikatora.

Maksymalne napięcie akcji w pierwszym obrazie prologu słabnie stopniowo w dwóch następnych. Teatr zmienia się w laboratorium, scena staje się katedrą. Paradoksalny pomysł eksperymentu eugenicznego, polegający na skrzyżowaniu Wschodu z Zachodem za pomocą sześciuosobowego małżeństwa, zjawienie się na Wyspach Nieoczekiwanych pastora-matolka, którego ojciec uczony chemik od dzieciństwa karmił azotem, wybrki młodego pokolenia, wychowanego w całkowitej swobodzie moralnej według zasad wyzwolonej z przesądów pedagogiki, to wszystko są tylko argumenty, któremi Shaw-dialektyk udowodnia nieuniknione bankructwo dotychczasowej kultury imperjalistyczno-kapitalistycznej.

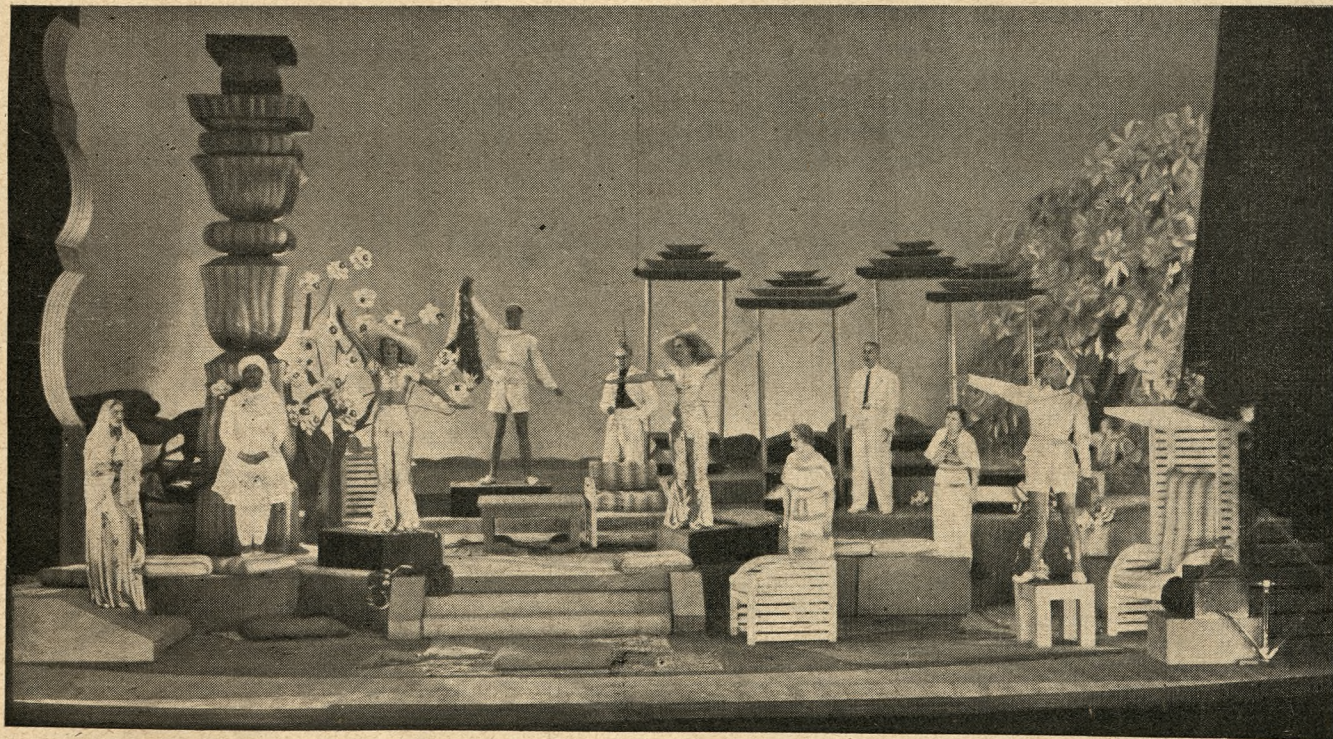
Próby stworzenia nowego człowieka drogą metod naukowych skończyły się sromotnym fiaskiem. Młode pokolenie mieszkańców wykazuje przy pierwszym zetknięciu się (nawet tylko przez radio) ze światem „cywilizowanym”, te same instynkty imperjalistyczno-militarne, jakie posiadają ich rodzice z „białej” linii. Wychowani dla wolności, szukają pana, przed którym mogliby się korzyć. Jednym słowem teorie zawiody. Osoba pastora-matolka, skupiająca w sobie szczątki i pozory tradycyjnej moralności, staje się zarzewiem walki między mocarstwami. (Shaw, piekielny ironista, pokazuje jak ni-

klemi i irracjonalnymi są przyczyny wojen).

Nad mieszkańcami Wysp Nieoczekiwanych zawisła groza zagłady. Ale oto w głębi szafirowych niebios ukazuje się dziwny ptak, ostrzeliwany przez krążowniki nieprzyjacielskiej blokady Albatros? Nie! poprostu anioł, anioł z prawdziwymi skrzydłami, ale w białym kombinezonie lotniczym i... z pstrym szalikiem na szyi. Anioł uwspółcześniony. Zapowiada on ni mniej, ni więcej, tylko sąd ostateczny. Sąd ten nie będzie jednak końcem świata, będzie zaraniem nowej epoki. Wytraceni zostaną ludzie zbędni, jednostki niepożyteczne, które w niczem nie przyczyniają się do szczęścia ludzkości.

I tu następuje jeden z najbardziej dowcipnych momentów „Matolka”. Intelektualni próżniacy z Wysp Nieoczekiwanych zdają sobie nagle sprawę, że prawdziwym sensem istnienia człowieka jest praca. Gorączkowo szukają choćby fikcji jakiegoś zatrudnienia, jakiegoś celowego wysiłku, któraby ich ocaliła od zagłady. Ogólny popłoch nie wytrąca z równowagi tylko pary wschodnich kapłanów: Pra i Prola. Przez całe życie swoje dążyli do pewnego określonego celu odrodzenia ludzkości i wierzyli weń. Sąd ostateczny jest dla nich tylko etapem jego realizacji.

A tymczasem zaczyna się dzieło zniszczenia. Z objęć pastora-matolka znika jego ukochana Maja. Nie umiera, ale znika. Rozpływa się również w nicłość jej rodzeństwo, owe sztucznie wyprodukowane próbki nowego człowieka. Depesze radiowe przynoszą wieści o masowych zniknięciach najwybitniejszych przedstawicieli ludzkości. Z Izby Gmin pozostała garstka, z Izby Lordów tylko pięćdziesięciu i to właśnie tych, którzy nigdy nie bywali na posiedzeniach. Shaw-kpiarz szaleje.



Scena zbiorowa z ostatniego aktu „Matolka z Wysp Nieoczekiwanych” Bernarda Shaw w teatrze Polskim.

Ale po krótkim wybuchu dobrego humoru przychodzi do głosu Shaw-mędrzec.

Wiara uchroniła od zagłady Pra i Prołę, wiara ocala również pastora-matolka. Kiedy w ramionach jego rozplynęła się Maja-uluda, przypomniał sobie, że jego miejsce jest w małym domku przy kościółku w dalekiej ojczyźnie, gdzie on prostak o gołębiem sercu będzie głosił Słowo Boże. (Czyżby reminiscencje Parsivala?). Możemy być o niego spokojni. „Gołąb znajdzie drogę do domu“.

Shaw jest konsekwentny. Pierwsze słowa otuchy i wiary w życie, pierwszy zdrowy odruch wprowadzenia ładu i porządku tam, gdzie panowała apatia i destrukcja, — wychodzą w sztuce od kobiety. Są to słowa i odruchy bardzo jeszcze elementarne, bijące raczej ze źródła bujnej krwi i temperamentu, niż z głębokich pokładów świadomości. Świadczą one jednak o zdrowym instynkcie kobiety, bliższej natury niż męczyzna.

W epilogu ta kobiecość wzbiera powagą i głębią opatrnościową. Kobieta Prola decyduje o przyszłym losie ludzkości, ona kreśli program wychowania nowego człowieka. Praca i walka — oto dwa ogniska tego programu. W ich świetle otwierają się nowe perspektywy dla odrodzonego świata. Program skromny w swej prostocie, pokrewny dyrektywom faszystów. Ale nie tyle on jest interesujący, ile prowadząca do niego dyskusja sceniczna, pełna błyskawicznych zwrotów myślowych, ustawiających daną tezę raz en face, to znów z profilu, to raptem wywracających ją na nice. Śledzenie tej gimnastyki dialektycznej samo przez się jest dość nużące. Tym razem Shaw oszczędził nam dłuższych tyrad, oprócz końcowego kazania. W stanowisku Shaw, pozornie tak paradoksalnym nie trudno rozróżnić dwa momenty: to, czem chciałby być i to, czem jest naprawdę. Chciałby być prorokiem, reformatorem i uzdrowicielem ludzkości, a jest, mimo wszystko dzieckiem naszej „strupieszalej“ cywilizacji, niewolnikiem dziedzicznych obciążeń, z pod których naprózno stara się wyzwolić. Atakuje cywilizację europejską właściwymi jej naturze chwytami, na inne nie potrafi się zdobyć. Ale może w tem właśnie tkwi jego siła przekonywująca, że jest jednym z nas, jak my schwytanym w potrzask, tylko miotającym się w nim świadomie.

Przekład „Matolka“ dał nam odczuć wszystkie finezje oryginału, umożliwił bezpośrednie obcowanie z najbystrzejszym i najdziwaczniejszym mózgiem naszej epoki.

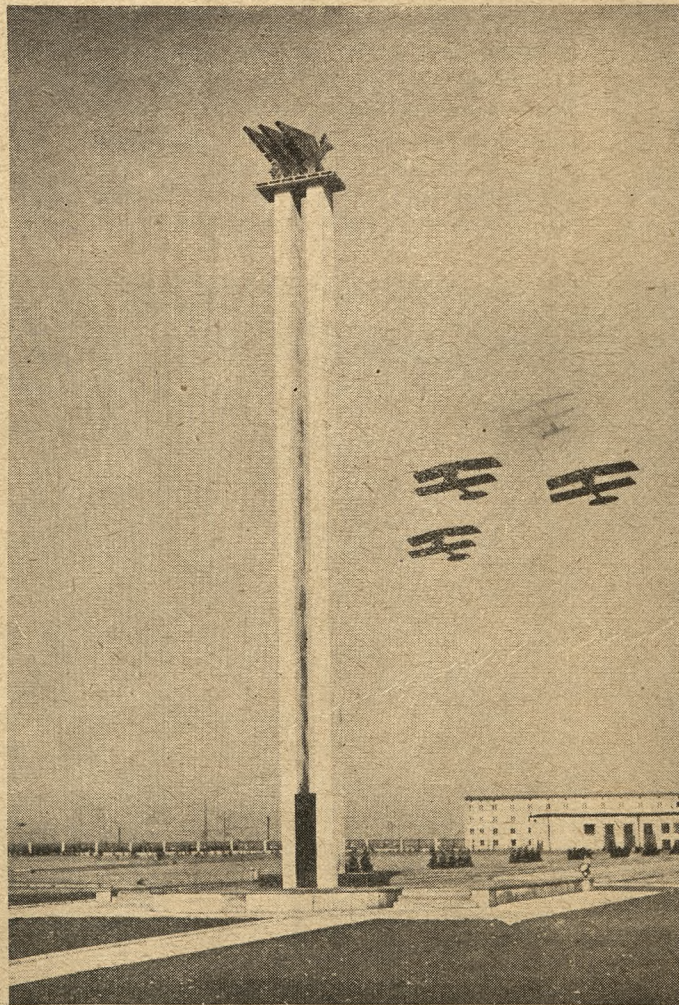
Reżyserja była staranna, ale niejednolita. Kontrast między brutalnością efektów pierwszej odsłony, a dyskrecją dalszych był zbyt rażący. Nie można fragmentu pewnej kompozycyjnej

całości traktować jak sketch, nawet wtedy, gdy chodzi o podkreślenie różnic środowiska.

Dyskretną, pogłębianą, finezyjną grą królowała Grabowska jako Prola. Miała zagadkowy urok wschodniej Giocondy. Kuncewiczówna nie może wyzbyć się pewnej manieri w mówieniu i ruchach, co czyni ją zbyt jednostajną bez względu na postać, jaką odtwarza. Halska miała znów niewdzięczną rolę głupawej Angielki. Barszczewska i Kajzerówna ślicznie wyglądały jako dwie egzotyczne kusicielki. Spośród ról męskich Daczyński stworzył małe arcydzieło z trudnej roli pastora-matolka. Dobry był Kondrat w epizodzie kolonjalnego wykołężca. Buszyński był nieco za pastozewaty jako kapłan wschodni. Woskowskiego znać było póki się awanturował, po zimnej kąpeli jego kontury dziwnie zatarły się na długo jeszcze przed rytualnym zniknięciem „sądu ostatecznego“.

Kostjomy (stroje wschodnie sugestywnie czarujące i pomysłowe) były dziełem Zofji Węgiełkowej. Dekoracje Jarockiego poprawne. Nie rozumiem tylko, dlaczego skala samobójców w drugiej odsłonie prologu, przypominała raczej jakiś zakątek Irlandji czy Szpicbergu, niż urwisko podzwrotnikowe.

S. P. O.



Pomnik lotnictwa ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego.

POMNIK LOTNICTWA KU CZCI MARSZAŁKA

Dn. 18 b. m., t. j. w wilję imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego na lotnisku wojskowym na Okęciu nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika, ufundowanego przez lotników, jako wyraz hołdu dla Marszałka.

Koncepcja pomnika, zaprojektowanego przez kobietę, inżyniera-architekta p. Ochmańską-Mrówkową, jest następująca. Dwa słupy z polskiego szarego kamienia dźwigają się w niebo, a między nimi trzeci słup — powietrza, u nas często również szarego.

Trzy orły — godło 1 pułku lotniczego, stanowią symbol naszych lotników, lecących zwykle trójkami. Podstawy właściwie niema żadnej, jest nią poprostu ziemia pola lotniczego na Okęciu, wyścielona tylko warstwą tego samego kamienia.

Twórczyni pomnika, p. Józefa Ochmańska-Mrówkowa przed sześciu laty otrzymała dyplom na Politechnice Warszawskiej. Od tej pory zdążyła już otrzymać wyróżnienie na konkursie na budowę kościoła Opatrzności i pierwszą nagrodę za projekt dworca lotniczego w Wilnie. Dworzec już jest pod dachem, a jego twórczyni komponuje obecnie jego wnętrze. Jak widzimy, pani Mrówkowa zdradza upodobanie raczej do budownictwa monumentalnego. Konstrukcja domów mieszkalnych interesuje ją również, jakkolwiek na tem polu kobiety mają dotychczas szczerze możliwości wypowiedzenia się, wbrew oczywistemu ich do tego prawu i wiekom doświadczeń w dziedzinie potrzeb domowych, organizacji gospodarstwa i urzędzenia wnętrza.

W wywiadzie udzielonym przedstawicielce Polski Zbrojnej p. Mrókwowa tak mówi o powstaniu projektu na pomnik lotnictwa.

— Nie jestem artystą rzeźbiarzem tylko zwyczajnym architektem. I dlatego też moja koncepcja była czysto architektoniczna. Powzięłam ją odrazu, narysowawszy pod wpływem pierwszego impulsu. Oczywiście, że „odrysowanie“ jej na tle nieba poszło znacznie wolniej. Jednakże jestem bardzo zadowolona z wykonania, jestem wdzięczna wykonawcom za tak dokładną interpretację mego pomysłu.

Czytelniczki
nasze
prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, czytelniach

Nasza mównica

ZYCIE PROWINCJI.

W numerze 5 „Bluszczu“ z dn. 2 lutego r. b. p. Jerzy K. Maciejewski zamieścił artykuł w formie reportażu - wywiadu p. t. „Ludzie z cukrowni“.

Artykuł ten ozdobiony jest 8 zdjęciami fotograficznymi ciekawszych fragmentów cukrowni L. w administracji której pracowałem długie lata. Obecnie już jako emeryt, czuję się powołanym i poniekąd zobowiązanym do sprostowania bezkrytycznych zarzutów oraz do właściwego oświetlenia spraw, poruszonych w wywiadzie, zgodnie z istotnym stanem rzeczy.

Życie w tej pogardliwie nazwanej „dziurze“ nie jest tak rozpaczliwe i beznadziejne, jak wypadaloby sądzić z treści omawianego artykułu.

Mamy na miejscu ładny kościółek katolicki oraz stałego księdza - rektora, utrzymywanego kosztem cukrowni. Jest gmach 7-mio klasowej szkoły powszechnej, pobudowany i wzorowo urządzony przez cukrownię, a przed kilku laty przekazany bezpłatnie na rzecz Państwa, imponuje swą okazałością, jak na warunki wiejskie, tutejszy dom ludowy, mieszczący: spółdzielnię pracowników cukrowni, oddział ubezpieczalni społecznej, bibliotekę i czytelnię koła miejscowego Polskiej Macierzy Szkolnej, stołownię dla osób pojedynczych, kino oraz piękną salę teatralną, gdzie dawniej odbywały się dosyć często (obecnie niestety rzadziej) przedstawienia kinowe i teatralne amatorskie, urządzane przez ważne staraniem koła P. M. S. ze współudziałem pracowników umysłowych i fizycznych, na tejże sali odbywają się sporadycznie odczyty i obchody uroczystości narodowych i innych, a w pomyślniejszych czasach urządzane były i towarzyskie zabawy taneczne, które obecnie prawie że ustały, kryzys i nas nie ominął.

Pozatem istnieje tu: koło młodzieży katolickiej, ochronka dla dzieci, oddział L. O. P. P., organizacje harcerskie, oddział związku strzeleckiego i t. p.

Z powyższego wynika, iż uwzględniane są potrzeby pracowników nie tylko kulturalno-oświatowe, ale nawet i duchowe i że pola do działalności społecznej jest dosyć, chodzi tylko o dobre chęci, no i o odpowiednie kwalifikacje intelektualne.

Jest tu jednak grono Pań dobrej woli o szerszym zasięgu zainteresowań społecznych, które przy swych obowiązkach domowo-gospodarczych czy zawodowych, poświęcają chętnie sporo jeszcze czasu sprawom kulturalnym i oświatowym i dziwna rzecz, na nudy nigdy nie narzekają, a na plotki już zupełnie czasu nie mają, ale... wedle stawu grobla.

Co się tyczy „nieciekawej odmiany“ karciarzy (chyba brydżystów, gdyż o innych nie wiem), to mogę zapewnić, iż są to ludzie poważni, kulturalni, pracujący zawodowo i społecznie i jako tacy za-

pewne nie są ciekawi dla Pani, której szczytem marzeń jest własny portret w interesującej pozie, jak również bale i inne zabawy w wielkim mieście.

Nad „flirciarzami“ wypada chyba wzruszyć ramionami.

W końcu kilka słów o miejscowym kole Polskiej Macierzy Szkolnej i o tej „ubogiej“ bibliotece.

Koło P. M. S. poza prowadzeniem biblioteki i czytelnii organizuje odczyty, przedstawienia teatralne i kinowe, specjalne kursy, jak szycia, kroju, gotowania, urządza wycieczki krajoznawcze, udziela nawet w miarę możliwości zapomóg uczącej się młodzieży, wszystko to wymownie chyba świadczy, iż działalność społeczna u nas, mimo trudnych warunków, nie ustaje.

Księgozbiór biblioteki składa się z przeszło 2.000 dzieł różnej treści, jak: beletrystyka, dział naukowy, popularny i inne, wogóle uwzględniane są różne potrzeby, upodobania i poziom umysłowy, w miarę napływu funduszy (niestety obecnie skromnych) dla biblioteki są nabywane bieżące nowości literackie.

Śmiało tedy można powiedzieć, iż jak na osadę, liczącą kilkaset mieszkańców, których część nie korzysta z biblioteki, nie jest to tak bardzo „ubogo“, nie ubóstwo zatem biblioteki zmusza do trzykrotnego czytania tej samej lżejszej powieści sensacyjnej, lecz chyba... inne ubóstwo.

K. Malczyński.

ANKIETA BLUSZCZU

Czy kryzys feminizmu?

Jedna z naszych długoletnich Czytelniczek z Krakowa nadsyła nam uwagi następujące.

Odnosnie do dysputy na łamach szan. pisma najbardziej oburzający jest fakt podejścia do tego tematu nietylko ze strony męskiej ale i kobiecej. Czyż rzeczywiście nie skończy się nigdy to urąganie, to ośmieszanie i niesumienne wykpiwanie nawet najwznioślejszych, najbardziej interesowniejszych usiłowań mózgu i serca kobiecego. Wystarczy, że ktoś rzuci hasło — „To przecież jakaś baba wymyśliła“ — i już przedewszystkiem świat męski, mający przecież poza sobą wiekową kulturę, rzuca się na akcję choćby faktycznie potrzebną, a im jest ona sprawiedliwsza, tem napastliwsza nagonka. — Przykładów dałoby się przytoczyć tysiące.

Mężczyźni posiadają nietylko władzę ale zagarnęli także mniej honorową funkcję ogłupiania kobiet. — Przypatrzmy się, jak to chłop na wsi uważa za swe najuczciwsze prawo bicie i znęcanie się

nad kobietą, gdy sytuacja finansowa jest ciężka, przez którą ona przecież więcej cierpi pracując w zawodzie narówni z mężem, rodząc przytem dzieci, pielęgnując je i oporządzając całe kobiece gospodarstwo. Czyż człowiek jest w stanie obciążać cały ogrom tej znożnej pracy — ile ona wymaga trudów, nerwów! Chłop wróci zły z karczmą, bardzo często po przepuszczeniu ostatnich groszy, żonę sponiewiera, dzieci zbija, ale on czuje się mimo to w swoim prawie, wedle swego mniemania, on pracuje na utrzymanie domu. A kto na wsi właściwie pracuje najciężej, na czyich barkach spoczywa cały ciężar? — niechby taka niewolnica na dzień się położyła, to wszystko upada, ginie.

Jakaż czeka ją za to nagroda, czy choćby uznanie? przecież powinna się czuć szczęśliwą, że ma chłopca, ta cała poniewierka, ta beznadziejna praca, to wszystko jeszcze nie okupi zaszczytu, honoru pozycji mężatki. Dziwić się jednak nie można, że kobieta z tej sfery widzi w zamążpójściu najlepsze rozwiązanie swego bytu — przecież nie wychodząc z domu ma się jeszcze gorzej, pozostaje w zupełnej zależności od mężczyzny, poniewieraną, hańbioną, płciowo wyzyskiwaną.

Nie jest prawdą zupełnie, że kobieta jest winna, że kobieta nie stoi na wysokości zadania — winien jest supremat męski, nierównomierność w ocenie praw i obowiązków.

Taki stan rzeczy się nie zmieni, o ile od lat chłopięcych nie będzie się wdrażać mężczyźnie jego obowiązków, nie będzie się przedstawiało skutków, jakie jego lekkomyślność pociąga za sobą, nie zerwie się raz na zawsze z niemądrem wychwalaniem jego wyczynów samczych. Od najwcześniejszych lat powinno się uczyć dzieci opanowania, powściągliwości i umiłowania prawdziwej moralności.

Musi się zerwać z pokutującym jeszcze obecnie przesądem, że mężczyzna, to bożek, któremu wszystko wolno, który z każdej erotycznej imprezy wychodzi moralnie czysty, a tylko kobieta zbrukana.

Nikt pod tem więcej nie cierpi, jak mężczyzna właśnie. A szkoda — to element podatny, z którego przy właściwym kierownictwie wychowywać można prawdziwego człowieka.

Znużone panie tracą swój charme i stają się mało powabne. Zwiłżenie skroni odrobina

Wody Kolońskiej „LADY“

bardzo orzeźwia i przywraca dobre samopoczucie. Woda Kolońska „LADY“ posiada tę wyjątkową właściwość łączenia się z naturalnym zapachem ciała i nadaje indywidualny charakter, tak ceniony przez wytworne panie.

Książka dla dzieci ZUZANNY RABSKIEJ
KASIA I KSIĘŻYC
Rysunki WANDY ZAWIDZKIEJ Tow. Wyd. „BLUSZCZ“
Cena 2 zł. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Przegląd prasy

MARJA WODZIŃSKA.

W dodatku lit. nauk. I. K. C., w artykule pani Izy Stablewskiej, znajdujemy szereg interesujących szczegółów z ostatnich lat życia Marji Wodzińskiej, niegdyś uwielbianej przez Juljusza Słowackiego i Chopina.

Marja Wodzińska primo-voto Skarbek—secundo-voto Władysławowa Orpiszewska, urodzona 1819 r. w Służewie b. Kr. P. ostatnie lata życia spędziła, razem z siostrą swą Kościelską, u córki tej ostatniej, Stanisławowej Orpiszewskiej, w Kłóbce na Kujawach, w pow. włocławskim.

Pod gościnnym dach córki i zięcia, przemiłego gospodarza domu, schroniły się obydwie wdowiaste siostry, podówczas już sędziwe matrony. Pani Kościelska, matka wielopolskiego poety, Józefa, wobec sławnej „Marji“ usuwająca się nieco w cień, ujmowała słodyczą i anielską dobrocią. Pani Władysławowa Orpiszewska, t zw. „babcia duża“ była alfa i omegą do mu Kłóbskiego, nadawała mu ton kulturalny, a przytem swojski i serdeczny. Poza osobistym urokiem intelektualnym i waleorami ducha wniosła w jego mury mnóstwo cennych pamiątek, stylowych mebli, wazonów, pianino, wybrane przez Chopina, wspaniałe obrazy pendzla Rosa du Tivoli, kopje z galerji drezdeńskiej i florenckiej reprodukowane przez utalentowaną ich właścicielkę. Pawilon p. Marji, dobudowany własnym sumptem do dworu pp. Orpiszewskich, był rodzajem sanktuarjum, gdzie się w misternie oprawionych imionnikach ukrywały plody poetyczne, artystyczne malowanki przyjaciół jej i wielbicieli, mnóstwo autografów wybitnych ludzi ówczesnych, olówkowy portrecik Chopina, w czerwono obitym albumie, z wspomnieniami mistrza i kopją kilku jego utworów, prześlicznym „Valse d'adieux“, dedykowanym Marji Wodzińskiej, a jak fama nosiła, napisanym po ostatecznym z nią rozstaniu na stacji za Dreznem, gdzie Chopin czekał na dyliżans, mający go zabrać w świat daleki i na zawsze rozłączyć z ukochaną uczennicą.

Pani Władysławowa lubiła młodych. Dzieci pp. Stanisławów uczyła języka francuskiego, historii polskiej, odbywała z niemi dalekie przechadzki. Do tej pory jeden ze szpalerów grabowych w Kłóbce nosi miano: „Uliczki Babci dużej“. Dokoła sędziwej pani skupiało się towarzystwo, odwiedzające pp. Orpiszewskich. Pogoda jej umysłu, prawość i uprzejmość wyzierająca z oczu, promieniowała na wszystkich, którzy mieli szczęście zbliżyć się do niej. Największą ucztą dla otoczenia była chwila, kiedy pani Marja siadała przy fortepianie i grała Chopina.

Nie była to muzyka zwykłych śmiertelników... raczej wykwinna a bolesna rozmowa duszy z duszą... raczej jakieś zaklęcia, szepty, łkania, gdy serce rozdarte niepewnością jutra drży i płacze... To był śpiew łabędzi — ostatnie wyznanie uczu-

głęboko ukrytych przed światem, które w piersi starszej tliły się jeszcze płomieniem, na przekór „nauczycieli życia, miary i mądrości!“.

Pani Orpiszewska dożyła sędziwego wieku i przepowiedziała, że umrze, gdy zawisną nad nią „dwie siekierki“ t. z. 77 lat. Nie omyliło ją przeczcucie. „To już koniec“ — orzekła, gdy z dobiegającym rokiem 1896 powaliła ją choroba. Dwa tygodnie walczyła i z obawy śmierci siedziała na foretę, kładąc pasjansę ze swoją wierną służącą Anną Budką. Na kilka dni przed śmiercią, zupełnie przytomna i bez gorączki, miała wrażenie, że św. Franciszek Salezy jest przy niej. Czy znakomity autor Filotei, duchowy przewodnik Joanny de Chantal, był ulubieńcem „Babci dużej“, nie wspomina p. Wanda Strzałkowska, której uprzejmości zawdzięczam szczegóły z ostatnich lat Marji. Istota tak uprzywilejowana za młodu, gasła w udreće ducha. Targał nią lęk przed letargiem... Broniąc się przed tą grozą, wymogła na bratanku, aby dla pewności, po zgonie, wydobyto z niej serce!...

Biedne ludzkie serce! tak odważne i dzielne w walkach życia — tak dostojne wśród miraży dni słonecznych... a tak słabe i drżące wobec tajemnicy grobu!...

Pani Władysławowa Orpiszewska zmarła 9 grudnia 1896 r., pochowana w Kłóbce w grobowcu Orpiszewskich, obok znanego patrioty, Belwederczyka, Ludwika Orpiszewskiego, ojca do dziś żyjącego księdza Orpiszewskiego—Zmartwychwstańca.

REHABILITACJA PAPUGI.

„Gazeta Polska“ z 13. I. umieściła artykuł p. A. Fiedlera, z którego dajmy kilka wyjątków:

„Przysłowiomą jest wierność małżeńska papug, dochowywana aż do śmierci. I rzeczywiście, gdy papugi stadami przelatowały nad moją głową, zawsze odróżniać mogłem poszczególne pary, trzymające się oddzielnie. Raz obserwowałem parę, siedzącą na drzewie i obsypującą się wzajemnie czulemi pieszczotami. W zachowaniu jej było tyle rozkosznej tklivości, że nie mogłem strzelać. Okazywanie pieszczot jest częstym zjawiskiem wśród wielu zwierząt, lecz tylko na tle popędu płciowego, natomiast papugi pieściły się w czasie pogodowym, z wielkiej przyjaźni, pod wpływem najczystszej, bezinteresownego uczucia. A to rzadko się zdarza nawet a ludzi.

Gdy przebywałem w południowej Brazylji nad rzeką Ivahy, kilka stad papug, zwanych tam bajtakami, miało zwyczaj powracania codzień wieczorem zawsze na ten sam nocleg w lesie, przyczem krzyżowało odkrytą drogę, na której często polowałem. Pewnego wieczoru, gdy bajtacki leciały dość nisko, ustrzelilem jedną z nich z powietrza. Kilka dni później przechodziłem tą samą drogą o tej samej po-

rze i już zdaleka widziałem pierwsze papugi, nadciągające zwykłym szlakiem. Lecz i papugi dostrzegły mnie również, a co najciekawsze, poznały mnie. Najbliższe ptaki zawróciły gwałtownie, ostrzegając piekielnym wrzaskiem dalsze towarzyski. Tymczasem nadleciało drugie stado i zatrzymane, wywołało wielkie zamieszanie w powietrzu. Po krótkiej naradzie papugi podjęły na nowo lot w pierwotnym kierunku, lecz przezornie omijając mnie półkolem w bezpiecznej odległości. I tak czyniły wszystkie następne bajtacki. Ostatnie stado, składające się z dziesięciu papug, zabawiło na żerowisku dłużej, niż poprzednio i przelatowało z półgodzinnym opóźnieniem. Musiało oczywiście stracić w tym czasie wszelki kontakt wzrokowy z poprzednimi papugami, które już dawno pochowały się na odległym noclegu, to też trudno opisać moje zdumienie, gdy i maruderki, pomimo, że mnie widzieć weale nie mogły, wymijały precyzyjnym półkolem miejsce, na którym stałem ukryty. Taka wspaniała służba informacyjna imponuje i świadczy zarówno o inteligencji, jak i o niezwyklej solidarności papug.

Pewnego razu podszedłem w gąszczu pod całe stado papug z rodzaju marakan i strąciłem. Reszta zerwała się przerażona, lecz widząc konające towarzyski, nie aćiekła i chciała pomścić ich śmierć. Zataczała nad moją głową groźne kręgi, wyprawiając straszliwy harmider. Mogłem być łatwo powystrzelać całe stado, odwaga tych ptaków większą była, niż lęk śmierci. Na widok wywołanej rozpacz ogarnęło mnie takie wzruszenie, że przyrzekłem sobie nie strzelać już nigdy do tych zielonych bohaterów: zbyt dzielne było w nich serce. Tymczasem marakany nie dawały za wygraną i długo mnie jeszcze prześladowały, postępując za mną z nieugiętą wytrwałością“.

TEATR I ŻYCIE... POZAGROBOWE.

Ludwik Solski jako młody adept sztuki scenicznej występował w pewnym nędznym teatryku prowincjonalnym.

Solski odtwarzał rolę nieszczęśliwego kochanka, który pod koniec trzeciego aktu umiera.

Na premierze wszystko szło jak z płatka. W ostatniej scenie Solski, zgodnie z rolą, skonał w straszliwych męczarniach i leżał nieruchomo na łożu śmierci. W tym momencie powinna była zapaść kurtyna.

I tu nastąpiła katastrofa: kurtyna zesunęła się do połowy... dalej ani rusz.

Po paru minutach daremnie oczekiwania „nieboszczyk“ Solski wstał z łoża śmierci i zawołał ponurym głosem:

— Nawet po śmierci człowiek nie ma spokoju!

Poczem ściągnął kurtynę ku dołowi,

Kobieta w świecie i w domu

Wspomnienia pośmiertne

Ś. P. ROMUALDA BAUDOIN DE COURTENAY.

Dnia 2 lutego b. r. zmarła w Warszawie Romualda Baudouin de Courtenay, wdowa po ś. p. Janie Baudouin de Courtenay, profesorze Uniwersytetu Warszawskiego.

Zmarła była jedną z tych pracownic, które wytrwale odbudowywały Polskę.

Pani Baudouin urodziła się w miasteczku Aleksandrówce w ziemi kijowskiej. Po powstaniu w r. 1863, rodzice jej jako skompromitowani politycznie zmuszeni byli przenieść się do Rosji. W Petersburgu pani Romualda pobierała nauki i jako jedna z pierwszych kobiet, zdała egzamin maturalny w gimnazjum męskim.

Następnie wstąpiła na uniwersytet dla kobiet Bełtużewą-Riumina gdzie poświęciła się studjom historycznym.

Wyteżona praca naukowa, która zajmowała jej znaczną część życia, nie przeszkadzała jej w pracy społecznej, której oddawała się z wielką gorliwością i zapałem.

Jeszcze jako studentka brała ona żywy udział w organizacjach młodzieży polskiej w Petersburgu.

Po wyjściu zamaż za ś. p. Jana Baudouin de Courtenay, profesora Uniwersytetu Dorpackiego, zamieszkała w Dorpacie, gdzie w dalszym ciągu, mimo wzrastających obowiązków rodzinnych zajmowała się pracą naukową.

W roku 1893 prof. Baudouin de Courtenay przeniósł się do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński. Od tej chwili pani Baudouin z entuzjazmem oddała się działalności społecznej, pracując z podziwu godną wytrwałością w wielu organizacjach społecznych i kulturalnych. Jej liczne artykuły ukazywały się w „Dzienniku Krakowskim”, w „Nowej Reformie”, w „Krytyce”, w „Życiu” i w „Kraju” petersburskim.

W roku 1900 prześladowany przez rząd austriacki prof. Baudouin de Courtenay przesiedlił się do Petersburga, gdzie został profesorem tamtejszego Uniwersytetu, aż do roku 1918. Tu pani Baudouin z niesłabnącą energią oddała się pracy wśród kolonji polskiej. Zorganizowała ona Uniwersytet Ludowy, była jedną z założycielek „Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich” w Petersburgu i „Towarzystwa Doraźnej Opieki Kobiety Polskiej”. Ponadto pracowała w tajnym polskim „Zrzeszeniu Niepodległościowym”.

Po powrocie do kraju pani Baudouin wstąpiła do Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, gdzie pracowała prawie do końca życia. Zajmowała się ona organizowaniem wycieczek po wystawach i muzeach warszawskich i urzędowała pogadanki historyczne, które były szkołą

wielkiej miłości Ojczyzny, miłości, którą przepelnione było jej serce.

Ś. P. JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA TRZECIAKOWA.

Ś. p. Jadwiga Chrząszczewska Trzeciakowa była wychowanką Szkoły żeńskiej we Włocławku, prowadzonej przez Izabelę Zbigniewską zwaną „Ostatnią Entuzjastką”. Jak wielką wdzięczność czuła ś. p. J. Chrząszczewska do swojej przełożonej, świadczą wysyłane przez nią do pism wspomnienia pośmiertne o swojej uwielbianej wychowawczyni, pisane na łożu śmierci.

Pamięć przeszłości była dla niej drogowskazem w przyszłej pracy pedagogicznej, która wypełniła całe jej życie. Założone i prowadzone przez nią Kursy Pedagogiczne i Szkoła Freblowska miały na celu wychowanie społeczeństwa w poczuciu obowiązku i patriotyzmu.

Pracą pedagogiczną zajmowała się nie tylko praktycznie, ale i teoretycznie. Była ona autorką szeregu nagrodzonych prac dla dzieci, oraz współpracowniczką „Przeglądu Pedagogicznego” i „Przyjaciela Dzieci”. Dominującą właściwością jej natury był talent pedagogiczny, który sprawił, że cieszyła się ona sympatją i wielkim zaufaniem dzieci jej powierzonych. Ten szczery sentyment, jakim obdarzała ją młode pokolenie był dla niej źródłem, z którego czerpała niestrudzoną żywotność, wieczną młodość i siłę do pracy.

KOBIETA FRANCUSKA OTRZYMAŁA PRAWO WYBORCZE.

W Paryżu rozegrała się ostateczna walka o prawo głosowania kobiet, zakończona zwycięstwem dzielnych feministek.

Izba deputowanych znaczną większością głosów przyznała kobietom prawo wyborcze nie tylko w wyborach municipalnych, ale i w wyborach do parlamentu.

Kobiety francuskie rozpoczęły kampanię przy pomocy grupy mężczyzn

którzy uważali, że kobieta dorosła już do współpracy z mężczyzną na terenie polityki. Gaston Chéreau, członek akademii Goncourtów powiedział, że „Jeśli ongiś matki nasze, które nas wydawały na świat, nie odczuwały potrzeby wypowiedzenia swego zdania w sprawach narodowych, to dlatego, że w nas pokładały całą ufność. Dawno już zawiedliśmy to zaufanie. Kraj nie należy bardziej do mężczyzny, aniżeli do kobiety. Należy on do nich obojga”.

Jedna z publicystek, zabierająca głos na łamach „La Femme” mówi:

„Dziwnem się wydaje, że prawo pozwala oddać głos do urny wykołojonemu komuniście, a nie pozwala jednocześnie kobiecie-doktorowi, kobiecie prawnikowi, kobiecie-inżynierowi, czynić tego samego”.

FRANCISZKA PLAMINKOWA.

W ubiegłym miesiącu czechosłowackie organizacje kobiece obchodziły uroczyste sześćdziesiąt rocznicę urodzin senatorki pani Franciszki Plaminkowej.

Franciszka Plaminkowa jest jedną z najwybitniejszych feministek współczesnych. Po ukończeniu studjów rozpoczęła ona żywą działalność w wielu organizacjach kobiecych, zajmując w nich czołowe miejsca, pozatem zorganizowała szereg nowych klubów kobiecych, mających na celu działalność społeczną.

W roku 1931 praca jej rozszerza się poza granice państwa. — Plaminkowa zostaje delegatką na konferencji Ligi Narodów, gdzie wygłasza szereg referatów, omawiających kwestję wychowania dzieci, a więc: Sądy dla nieletnich, kształcenie dzieci niewidomych i t. p.

W roku 1932 została członkiem pierwszej Komisji Narodowościowej, gdzie skoncentrowała swoje wysiłki w celu polepszenia bytu kobiet. Mimo podeszłego wieku służy ona w dalszym ciągu sprawom kobiecym nie tylko w swoim kraju, ale i na terenie międzynarodowym.

Pielęgnowanie urody w świetle wiedzy lekarsko-kosmetycznej

Ciąg dalszy.

Czy prawidłowa cera wymaga pielęgnowania?

W poprzednim artykule omówiliśmy metodę przeobrażenia tłustej cery w prawidłową. Przeobrażenie jej choćby „domowymi” środkami wkracza w zakres leczenia, pielęgnując natomiast prawidłową cerę, działamy *zapobiegawczo* celem zachowania młodzieńczego wyglądu po najdłuższe lata. Wiadomo, że młodociana warstwa naskórka pokryta jest zrogowaciałym nablönkiem. Zasada skutecznego pielęgnowania prawidłowej cery polega na usuwaniu twardego naskórka i ożywieniu odsłoniętej soczystej warstwy. Do usunięcia twardej powłoki naskórka posługuje-

my się kremem „Mollana”. Powleka się twarz tym kremem, a po 10 minutach spłókuje gorącą niemal wodą i zmywa mydłem śmietankowym Dra Lustra lub mydłem dla dzieci „Miraculum”. Po zużyciu jednej tubki kremu „Mollana” stosuje się w ten sam sposób codziennie krem „Ultrasol”. Wystrzegać się należy pudrów wysuszających soczysty naskórek. Godny polecenia jest roślinny puder egzotyczny Dra Lustra, dzięki własności zmiękczenia naskórka. Jako podkład pod puder nadaje się matowy krem „Mira”. O pomocniczych zabiegach — w następnej pogadance.

Świat kobiecy



DZIEWCZĘTA Z PORTO PRAIA
Zdjęcie nasze przedstawia typy dziewcząt z Porto-Praia (Wyspy Zielonego przylądka).

ZARĘCZYNY KSIĄŻĘCE

Z okazji zaręczyn Infanta - Don Jaime de Bourbon i księżniczki Emanueli Dampirre Ruspoli, były król Hiszpanji, Alfons XIII wydał wielkie przyjęcie w swojej rezydencji w Rzymie.

Zdjęcie przedstawia Infanta - Don Jaime de Bourbon i księżniczkę Emanuęłę Dampirre Ruspoli.

ŚWIĘTO NARODOWE W JAPONJI.

Rocznica założenia cesarstwa w Japonji obchodzona jest uroczyście, przyczem nie zapomina się i o rozkoszach podniebienia.

Na zdjęciu widzimy kelnerki restauracji w Tokio, niosące olbrzymiego dzika, który ma być upieczony na rożnie.



w ilustracji



TAKŻE KOLEKCJONERKA.

Młoda amerykanka panna Margaret Simms posiada zbiór 167 węzłów, z których każdy jest inny. Zdjęcie nasze przedstawia właścicielkę na tle swej oryginalnej kolekcji, na plaży w Venice (Kalifornia).

KRÓLOWA POMARAŃCZY W KALIFORNIJI.

Córka jednego z plantatorów kalifornijskich została wybrana na Królową pomarańczy i robiła honory domu na wielkim jarmarku owocowym w Los Angeles. Na zdjęciu widzimy ją, zagrzebaną po ramiona w stosie pomarańcz.

KOREAŃSKIE OWOCE NA KALIFORNIJSKIM GRUNCIE.

Na olbrzymich plantacjach w Palm Springs poraz pierwszy dokonano zbioru persimonów, owoców z drzew, wprowadzonych z Korei a zasadzonych na urodzajnych gruntach kalifornijskich, gdzie wydały plon obfity.

Na zdjęciu widzimy koreańskiego ogrodnika Roy Wanga przy pierwszym zbiorze owoców.



Okrycia wiosenne

Z pierwszymi promieniami wiosennego słońca ciekawie oglądamy wystawy. Co będzie modne? Futro, płaszcz zimowy. dają się nam dziwnie ciężkie, chcemy je jaknajprędzej zrzucić, ale co włożyć na ich miejsce, czem je zastąpić?

Mistrze paryscy realizują szereg nowych pomysłów. Mniej excentryczne z tych wytworów fantazji ukażą się i u nas.

Tegoroczna moda przyniesie nam wielką swobodę w wyborze okryć wiosennych. Będziemy nosiły płaszcze długie, trzykwietniowe, peleryny i pelerynki. Przy długich płaszczach nie spotykamy prawie wcale kołnierzy, natomiast wszelkie nowe pomysły skoncentrowane są na rękawach, które cechuje wielka rozmaitość. a więc rękawy długie, sięgające dłoni, poszerzone na dole, są i krótkie bufiaste, ściągnięte niżej łokcia. Płaszcz taki będzie w pasie dość mocno wcięty, a na dole szeroki i swobodny.

Płaszcze trzykwietniowe będą miały ustaloną długość, a mianowicie nie będą nigdy sięgały niżej kolan. Oprócz płaszczy wełnianych w gorętsze dni będziemy nosiły płaszcze z materiałów lnianych i jedwabnych, przyczem tafta zajmie jak w karnawale, znowu jedno z czołowych miejsc. Rękawy, podobnie jak w długich płaszczach, będą obfitowały w excentryczne pomysły królów mody.

W pelerynach można rozróżnić dwie zasadnicze grupy: pierwsza — peleryny sportowe wełniane, lub lniane o kroju prostym, będą miały na celu zastąpienie sportowego kostjumu, który nam się już trochę znudził. Druga grupa, to peleryny popołudniowe, zrobione z wełny, albo z jedwabiu, niezwykle wytworne, nie sięgające kolan, przypominające swoją długością i otworami dla rąk, wiek XVIII. Wszystkie te okrycia będą utrzymane w tonie jasnym, przyczem połączenia modnych kolorów będą dość rewolucyjne, a więc — żółty z zielonym, zielony z beige, beige z brązowym.

Należy jeszcze zaznaczyć, że zasadnicza linja ulega pewnym zmianom, nabiera więcej kobiecości, staje się coraz bardziej miękka. Nie spotykamy już poszerzonych ramion. Sylwetka w biuście obfitsza, w pasie mocno wcięta, w biodrach dość szeroka — historia się powtarza“.

Wszystkim naszym Szanonym Współpracowniczkom, Korespondentkom i Czytelniczkom przypominamy, że drobnych rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

Osoby, pragnące uzyskać zwrot rękopisu, powinny do niego dołączyć odpowiednią ilość znaczków.



Światła neonowe jaskrawo reklamują zakład upiększania pań „Jeannette“.

Co chwila automatyczne drzwi otwierają się bezszelestnie i wpuszczają nowe „ofiary mody“...

Elegancko ubrany boy nisko skłania głowę...

— Moje uszaaa-nowanie pani dyrektoro-wej...

— Uszaanowanie dla pani prezesowej...

— Moje uszaaa-nowanie pani...

Dziwny to był dzień w zakładzie „Jeannette“... Wszystkie piękne, wytworne i bogate panie z całej stolicy zdawało się, że wyznały sobie spotkanie w lokalu mody i urody.

W olbrzymim jasno oświetlonym westibulu portjer zdejmował wspaniałe futra z ramion wytwornych kobiet, które płynęły, jak lawa, niepowstrzymanym strumieniem...



Z oddzielnych kabin salonu mody dobiegają stłumione słowa:

— Panie Waclawie — koniecznie — ale koniecznie, ten odcień rudy... Ostatni komunikat radiowy z dziedziny mody i urody kobiecej głosił, że właśnie ten kolor włosów lansują w Paryżu...

Z innej kabiny dobiega szept:

— Ależ, nie przekona mnie pan, wczoraj dostałam list z Paryża, że kolor włosów platynowy ma szansę utrzymania się jeszcze przez pół roku... a później? — Zobaczymy!

— Sługa pani!

— Chciałabym tylko, panie Tadeuszu, żeby pan możliwie piękniejszy odcień platynowy wydobył, niż przy włosach pani prezesowej.

— Postaram się, pani ministrowo, zrobić wszystko, co będzie w mojej mocy...

Szepty, dochodzące z kabin, brzmiały coraz głośniejsze, coraz bardziej gorączkowo.

— Pani Janino, proszę się nie upierać i zwięźć moje brwi jeszcze o kilka milimetrów... wszystkie eleganckie kobiety za-

granicą gołą je prawie zupełnie — a co do paznokci, niech pani nie ma żadnych obaw! Ja będę tą pierwszą kobietą w stolicy, która pomaluje je na srebrny kolor... A niedługo... zobaczy pani... pani Janino...

Zgrzyty i hałasy elektrycznych maszyn, szepty i odgłosy dochodzące z kabin oddzielonych od ogólnego salonu ciężkimi kotarami, w którym czesały i upiększały się panie, nie śledzące postępów mody, przygłuszył koncert muzyki lekkiej, płynącej z otwartego głośnika radiowego.

„...Bo ja lubię wszystko naturalnie...“ płynęła piosenka.

— Ależ, panie Zygmunco, to nie jest ten kolor, który pokazywał mi pan w próbkach malowanych włosów!

— To narazie tylko, proszę szanownej pani, po wysuszeniu kolor będzie „identycznie taki sam“...

Młody śpiewak przed mikrofonem kończył swą piosenkę: „I właśnie kocham ją za to, że ma wszystko naturalne...“

— Hallo, hallo! Zakończyliśmy koncert muzyki lekkiej... Za chwilę podamy dla pięknych pań komunikat z dziedziny mody i urody...

— Jak nam donoszą z Paryża, moda obecna zdążyła przedemścić się w kierunku zupełnego naturalizmu...

W salonie „Jeannette“ zapanowała głęboka cisza...

— Naturalność obecnej mody zaznaczyła się przedemścić się w kolorze włosów, barwieniu paznokci, linii brwi... Przyczem podobno brunetki zyskują przewagę nad blondynkami...“

Mikrofon zamilkł.

Z kilkunastu kabin salonu „Jeannette“ wybiegli wytworni „mocarze“ urody kobiecej, wystraszeni panowie Waclawowie, Tadeuszowie, Edwardowie...

— Wody! Wody!...

W kabinach, w wygodnych fotelach, leżały napół-omdlałe platynowe blondynki, rude kobiety, których połowa głowy czerwieniła się roztopionym złotem, połowa lśniła jeszcze czernią naturalnych włosów — panie z powyskubywanymi brwiami...

Z jednej z kabin doleciał huk rewolweru...



Pani prezesowa... postrzeliła się w palec...

Następnego dnia najwytworniejszy w stolicy salon urody „Jeannette“ był zamknięty z powodu nerwowego wyczerpania pracowników.

Janina Czekańska.

Ogrodnictwo i hodowla

SALSEFIA

Salsefia (*Pragopogon porrifolium*), jest to mało uprawiana jarzyna korzeniowa, o wysokiej wartości dietetycznej, gdyż ułatwia trawienie i dostarcza smacznej potrawy na przednówku, gdy zimowane w piwnicach jarzyny tracą już smak.

Uprawa jej mało się różni od uprawy powszechnie hodowanych warzyw korzeniowych. Wysiewa się ją w grunt głęboko spulchniony, zasobny w starą siłę nawozową. — W płodozmianie przeznaczamy jej zwykle miejsce w drugim roku po nawozie, z tym jednakże, żeby grunt był poprzednio bardzo obficie nawożony.

Stosuje się siew rzędowy — wycyzając rzadki co 25—30 odległe jeden od drugiego. Nasionka są drobne, stramy się je rozsiać mniej więcej co 2—3 cm. Przy tak gęstym siewie, wychodzi zwykle 5 g nasienia na każde 3 m² grządki. Zawsiew musi być utrzymywany stale wilgotno, gdyż nasiona salsefji posiadają bardzo grubą otoczkę i do skielkowania potrzebują sporo wody w glebie.

Gdy tylko rzadki dobrze się znaczą i roślinki podrosną już tak, że dadzą się dobrze w palce ująć, przerywamy salsefję, pozostawiając tyle roślinek, aby rosły co 10—12 cm jedna od drugiej. Gęściej pozostawione roślinki ogładzają się wzajemnie i zacieniają, co się ujemnie odbija na grubości korzonków stanowiących cel hodowli.

Pielęgnacja w ciągu lata polega na utrzymywaniu ziemi stale pulchno i na podlewaniu, ilekroć ziemia zacznie przysychać. Wilgoci salsefja wymaga sporo; gdy ma zbyt sucho, plon korzonków jest mniejszy i są one gorsze w smaku. Dostateczna ilość wody jest bardzo ważna, zwłaszcza w pierwszym okresie rozwoju. Zasuszona, łatwo strzela w nasiona i wydaje korzenie twarde i lykowane. Wogóle rośliny strzelające w kwiat należy natychmiast usuwać.

Zbioru dokonujemy jesienią i w piwnicy przechowujemy ją, jak pietruszkę, t. j. układamy w piasku. Można ją również zostawić i na zagonku, gdyż nie przemarzy. Wielkie spustoszenia robią w niej myszy, które uważają ją za przysmak. Aby sobie ułatwić zimowe wybieranie salsefji z zagonka, należy ziemię zabezpieczyć od przemarzania parucentymetrowa warstwą igliwia, lub gałązek jałowca — utrudni to jednocześnie dostęp do niej myszom. Nawiosnę, z chwilą ukazania się pączków, salsefja staje się nie-

zdatną do konsumpcji i należy ją zostawić na nasienie, względnie wogóle z zagonka usunąć.

Są amatorzy, którzy młode listki jadają, przyprawione na sałatę. Zawierają one jednak dość ostrą goryczkę, którą nie wszyscy lubią. W kuchni salsefja jest jarzyną zupełnie niezastąpioną i prosto uniwersalną, gdyż z niej daje się przyrządzać bardzo wiele smacznych i zdrowych potraw..

Do gotowania należy wybierać korzenie jednakowej grubości, a to dlatego, aby się równo gotowały, bo grubość zresztą nie gra w smaku żadnej roli. Czyszcząc salsefję, nie należy jej obierać, tylko skrobać delikatnie nożem i natychmiast wrzucać do wody, silnie zakwaszonej octem, lub cytryną, aby nie czerniała. Dobrze ugotowana salsefja, jest po ugotowaniu całkiem biała. Gotuje się tę jarzynę, jak szparagi w solonej wodzie, z dodatkiem łyżki octu i łyżki cukru: — polane masłem z bułeczką.

Ugotowana i przetarta salsefja daje wyborną zupę. Zaprawia się ją śmietanką z żółtkami, lub oszczędniej masłem i mąką. Do zupy takiej podaje się grzanki.

Doskonale smakuje *puree* z salsefji — zaprawia się ją masłem, mlekiem i mąką, dając tej ostatniej czubą łyżkę na każde ½ kg surowych korzonków. Z dodatkami tymi trzeba *puree* zagotować. Potrawa ta stanowi wykwintny garnitur do mięs.

Cenione przez smakoszy są kotlety z salsefji. Do ugotowanej jarzyny, dodaje się jaja z tartą bułką. Chcąc, aby kotlety były nieco ostrzejsze, należy razem z salsefją ugotować parę cebul i wszystko przepuścić przez maszynkę.

Dalej, można z salsefji robić budynie i suflety, postępując podobnie, jak przy przygotowywaniu budyniu z kapusty.

Smaczny jest sposób podawania salsefji, moczony w mace, jajku i bułeczce i smażonej w tłuszczu, jak paczki.

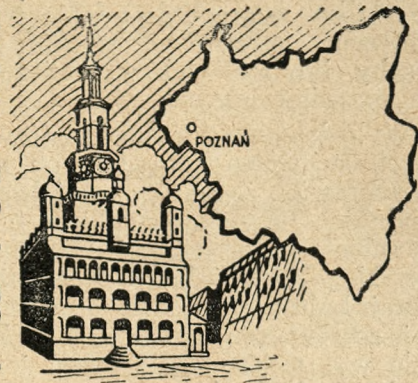
Nakoniec można podawać salsefję z białym sosem, lub zapiekaną pod beszamelem.

Marja Dąbrowa.

SZKÓŁKA MORWY BIAŁEJ

Kilka czytelniczek zwróciło się do redakcji zapytaniem o rozmnażaniu morwy białej. Ponieważ jedwabnictwo nasze wspaniale się rozwija, a „żyje” dotąd jedynie z owych 300.000 ongiś zasadzonych drzew, cóż więc za wspaniałe rozwój dopiero będzie, gdy staną się

ROZPOCZYNAJEMY OD POZNANIA



ROZPOCZYNAJEMY OD POZNANIA

znanego z Wystawy Krajowej, Targów, słynnego ratusza oraz słynnych wyrobów kosmetycznych firmy HENRYK ŻAK, a szczególnie niezbędnego Kremu „MIAFLOR” i pudru higienicznego „LORAN”.



zdatne do użytku owe 10 milionów drzewek, które w ciągu ostatnich lat zostały zasadzone?

Już dziś Milanówek, t. j. Centralna Stacja Doświadczalna dla spraw Jedwabnictwa produkuje tyle jedwabiu do szycia, że gdyby rynek był lepiej skonsolidowany i gdyby hasło „kupuj wyroby krajowe” nie było tylko w teorii, mogłyby zniknąć od nas wszystkie nici zagraniczne.

Tkaniny jedwabne ta sama stacja doświadczalna w Milanówku produkuje również już w ilości przeszło 100.000 metrów, czyli ilość pokaźną.

Liczba hodowców wzrasta z roku na rok — w zeszłym sezonie było ich prawie 800 — a w bieżącej kampanji będzie ich prawdopodobnie już około tysiąca.

Drzewa morwowe szybko rosną, są niewybredne co do ziemi, to też powinno się ich wysadzać jak najwięcej, obsadzać niemi drogi, aleje, sadzić je w parkach, ogrodach i t. p. Na żywopłoty morwa biała jest zupełnie niezastąpiona, w ciągu kilku lat tworzy zwarte płoty nie do przebycia. Żywopłoty powinny znaleźć u nas szersze zastosowanie, zalety ich są już tak uznane, że nie trzeba się nad tem rozwódzić.

Niestety wielką przeszkodą masowego wysadzania morwy jest to, że drzewka te skutkiem wielkiego popytu, jaki jest na nie, są stosunkowo dość drogie.

To też wszędzie tam, gdzie jest

odpowiedni teren, należy sobie założyć szkółkę tych drzew. Szkółeczka ta zależnie od miejscowych warunków może być albo mała, na kilku metrach kwadratowych, obliczona jedynie na własne potrzeby, lub też większa, obliczona na sprzedaż drzewek.

Wyhodowanie drzewek morwowych systemem gospodarskim nie przedstawia żadnych specjalnych trudności. Przedewszystkiem trzeba sobie wybrać odpowiednie miejsce. Musi to być kawałek ziemi o starej kulturze, głęboko doprawionej, ze słoneczną wystawą i doskonale wyczyszczonej z perzu i innych trwałych chwastów.

Przeprowadzenie regulówki na dwa sztychy wpływa doskonale na rozwój siewek, i tego nie należy zaniedbywać. Zregulowaną ziemię doprawiamy kompostem lub dobrze przegniłym obornikiem. Nawozu nie żałować. Zasadniczo tak regulówka, jak i nawożenie powinny być dokonane jesienią, ale wobec tego, że morwę sieje się w maju, można tych zabiegów dokonać i wczesną wiosną.

Przed samym siewem raz jeszcze płyciutko kopujemy, ugrabiamy i formujemy zagony szerokości 1 metra 80 cm. W poprzek zagonu przeprowadzamy linje w odstępach 20 cm głębokie na 3 cm. W tak przygotowany zagon wysiewamy świeże nasienie morwy.

Najlepszą porą siewu nasion morwowych jest pierwsza połowa maja. Jeśli zasiewamy niewielką przestrzeń, którą w razie suszy można podlewać, to doskonale można wysiewać nasienie moczone, co bardzo przyspiesza kiełkowanie.

Moczymy 48 godzin w wodzie, w której na każdą szklanke rozpuszczono 12 g soli kuchennej lub co lepiej 6 g saletry. Nasienie wysiewamy możliwie równo i rzadko w poprzednio zrobione rowki. Przykrycie nasienia ziemią nie powinno przekraczać 2 cm. Do obsiania 1 m² ziemi potrzeba jest 2 — 3 gramów nasienia. Nasienie należy nabywać w pewnym źródle i żądać gwarancji zarówno co do siły kiełkowania, jak i co do odmiany.

Cena za 10 g nasienia morwy waha się od 60 gr. — 1.50. zależnie od odmiany. Dla naszych warunków najodpowiedniejsze będzie nasienie wyprodukowane w Polsce. *Morus* albo *vulgaris tennifolia*.

Nasienie morwy jest dość drobne, to też trudno je odpowiednio rzadko siać, aby sobie tę pracę ułatwić, należy namoczone ziarenka mieszać z 5-ciokrotną (na objętość) ilością suchego piasku i razem z nim wysiewać.

Do przykrycia nasienia używa-

my ziemi inspektowej, przesianej przez gęstą rafkę.

Ziarenka wschodzą po upływie 15 — 20 dni, przez cały ten czas należy ziemię utrzymywać wilgotno. Gdy się rzędy dobrze zaznacza, należy zagonek dobrze zmotyczyć i zabieg ten powtarzać, ilekroć ziemia zaskorupieje lub chwasty się zazielenią. Motyczenie stosujemy przynajmniej co 3 tyg. Chwasty w szkółce morwowej będziemy tępić z całą bezwzględnością, bo gdybyśmy zaniedbali, łatwo młode siewki zostałyby zagłuszone. Gdy siewki już będą posiadać po trzy listki, należy je przerwać, tak aby roślina od roślina rosła przynajmniej co 6 ctm. Wyrwanych siewek nie należy wyrzucać, ale wysadzić je na drugi zagonek, przygotowany, jak wyżej.

Dobrze pielęgnowane sadzonki morwy powinny w pierwszym roku wyrosnąć na wysokość 20 — 30 ctm. Do tego oczywiście potrzebują obfitego pożywienia, to też należy w ciągu czerwca i lipca w równych 10-dniowych odstępach podawać gnojówkę, rozcieńczoną po połowie z wodą i wystawą w ciągu 48 godzin. Komu za trudno przyrządzać powyższą mieszankę, może ją zastąpić wodą z domieszką saletry, w stosunku 10 gramów saletry na każde 10 l. wody.

Pomimo najstaranniejszej selekcji nasienia zawsze z wysiewu otrzymuje się część sadzonek dzikich z małymi listkami, a część szlachetnych, to na jesieni jeszcze przed opadnięciem liści należy je odznaczyć przy pomocy szmatek lub rafki i na następną wiosnę dzikie sadzonki przesadzić osobno, aby je uszlachetnić.

W pierwszym roku życia siewki są bardzo delikatne i wrażliwe na mróz, to też muszą być na zimę zabezpieczone. Nie można jednak używać do tego celu ani liści, ani nawozu, gdyż młodziutki morwy pod tem przykryciem gniją. Posługujemy się tutaj drobnymi gałązkami drzew szpilkowych jak: świerk, jałowiec, sosna i t. p.

MAJERANEK

Majeranek, to roślina, którą warto było uprawiać w większych ilościach. Zapotrzebowanie bowiem na niego jest duże. Używa się go do wszelkich wędlin, do flaków, mięsa baraniego i wieprzowego, do zup takich, jak kartoflanki, grochówki i t. p. Cena majeranku suszonego jest dość wysoka, a kłopotu z uprawą bardzo niewiele.

Majeranek rośnie dobrze tylko w ziemi lekkiej, pulchnej, lecz bardzo dobrze poprawionej doskonale przetrainowanym nawozem. Potrzebuje dużo ciepła, to też sadzić go nale-

ży jedynie na grządkach, o wystawie bardzo słonecznej. Nasionka są bardzo drobne i zachowują siłę kiełkowania przez 2—3 lata. Wysiewamy je możliwie rzadko w inspekcji o temperaturze około 17°C w połowie marca. Zsiew uklepujemy deszczką i podlewamy obficie.

Od połowy kwietnia, zaczynamy roślinki stopniowo przyzwyczajać do otwartego powietrza, a w początkach maja wysadzamy majeranek do gruntu. Ziemię naokoło sadzonek obciskamy silnie i podlewamy obficie. W ciągu lata potrzeba ziemię utrzymywać czysto i pulchnie. Również w ciągu lata, obcinamy zielone gałązki, których używamy jako dodatek do sałat. Główny zbiór odbywa się w sierpniu, gdy roślinki są w pełnym kwiecie.

Ścina się całe krzaczki, tuż przy ziemi i suszy w miejscu zacienionem. Przechowuje się w szklanych słojach, szczelnie zamkniętych, a jeśli chodzi o większe ilości, to w skrzyneczkach, wyłożonych pergaminowym papierem.

Marja Dąbrowa.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani A. Madeyska.

Podajemy adresy Stowarzyszeń i Związków, gdzie znajdzie Pani informacje o działalności kobiety w Polsce.

Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet — Nowogrodzka 23.

Rodzina Wojskowa — 6 sierpnia 3. M. Spraw. Wojsk.

Koło Polek — Plac Zamkowy 9.
Stowarzyszenie Ziemianek — Marszałkowska 149.

Przysposobienie Wojskowe Kobiet — Nowogrodzka 23.

Stow. Kobiet z Wyższem Wykształceniem — Żórawia 25.

Zjednoczenie Kobiet Pracujących Zawodowo — p. Szelałowska — Nowolipie 80 m. 1.

„Opieka“ — Marszałkowska 153.
„Nasz dom“ — Marszałkowska 153.

„Osiedle“ — Marszałkowska 153.
Biały Krzyż — Świętokrzyska 5.

Fidac żeński — Krakowskie Przedmieście 32.

Tow. Przyjaciół Dzieci Ulicy — Senatorska 29.

Sekcja Opieki nad matką i dzieckiem przy Magistracie m. Warszawy — Krakowskie Przedmieście 60.

Patronat nad więźniami (dział opieki nad małoletnimi przestępcami) — Królewska 33.

Dom Dziewcząt — na Okęciu.
Tow. „Ratujmy Niemowlęta“ — Nowy Świat 8—10.

Katolicki Związek Polek — Krakowskie Przedmieście 35.

Narodowa Organizacja Kobiet — Wiejska 3.

Związek Pań Domu. — Nowy Świat 9.

Dom i gospodarstwo

PRZED ŚWIĘTAMI

Święta wielkanocne, ze swoim tradycyjnym jadłospisem, są czymś w rodzaju „areny”, na której pani domu znajduje pole popisu, bo nigdy chyba nie przeżywamy tak intensywnego nasilenia kulinarne- go, jak w okresie poprzedzającym Wielkanoc.

Na małą, większą, czy wielką skalę; na wsi, czy w mieście, ho- łdujemy jednak tradycji, która po- mimo kureczliwości naszych budżet- ów „ponosi” i zawsze umie posta- wić na swoim.

Chociaż pozornie daleko jeszcze do Świąt, wkraczamy już w erę za- pobiegliwości gospodarskiej, za- czynamy gromadzić zapasy, my- śląc o wyjściu naprzeciw Świąt z należytem poszanowaniem zwy- czaju.

Ten, mało poetyczny napozór pietyzm kulinarny, ma w sobie jednak ziarno poezji, które kiel- kuje na tle świątecznego krajo- brazu, zasilane nietylko budzącą się do życia naturą i samą istotą Świąt Zmartwychwstania, ale i przyziemnym szeregiem dań świą- tecznych, które składają się na obraz wyczelowanej w szczegó- łach całości.

Nie pora jeszcze omawiać pach- nące wanilią, dziergane migdała- mi i rodzynkami, pozłociste od skórek pomarańczowych i lśniące lukrem zastępy: bab, placków, sę- ka zy, tortów i mazurków. To są wyczyny ostatniego tygodnia i mamy czas na zgłębienie ich ta- jemniczego poczęcia. Dzisiaj po- mówimy o tem co wymaga wcześ- niejszego zadośćuczynienia.

Więc solone (peklowane) mięso i wędliny.

Przystępując do peklowania, czyli solenia mięsa musimy prze- strzegać pewnych zasad. Są niemi przedewszystkiem: proporcje soli, saletry i przypraw; rodzaj naczyń w jakich mięso peklujemy; czas przetrzymywania mięsa w soli, obsuszania i wędzenia.

Mięso przeznaczone do peklowa- nia powinno pochodzić z młodej sztuki tuczonej na mięso, a nie na słoninę. Weźmiemy zatem do sole- nia szynki z mięsnych karmników, nie ze sztuk upasoinych „na słoninę”.

Szynka przed nasoleniem po- winna skruszeć. Wieszamy ją za- tem na kilka dni w chłodnym i su- chem miejscu, a dopiero potem przystępujemy do solenia. Nie na- leży też nigdy myć mięsa prze- znaczonego do peklowania.

Najodpowiedniejszym naczy- niem będzie beczułka, albo szczel-

nie zbudowana skrzynka z drze- wa dębowego, przeznaczona spec- jalnie do mięsa i nie używana do kiszonek (kapusta, ogórki, rydze i t. p.). Najstaranniej wyszorowa- na beczułka po kiszonkach grozi zawsze niekorzystnymi komplikac- jami, jak np. szybkie burzenie się ropy (sos jakim zalewamy mięso), koniecznością przeniesienia mię- sa do innego naczynia i zalania go świeżym sosem.

Peklując mięso w niewielkich ilościach (gospodarstwa miejskie) układamy je w kamiennych garn- kach, albo dużych kamiennych miskach. Naczynia gliniane, nie- polewane, lub metalowe są nieod- powiednie i nie powinny być uży- wne.

Sam sposób solenia mięsa pole- ga na wcieraniu ręką soli wymie- szanej z saletrą, cukrem i dosyć grubo przetłuczonymi korzeniami, w powierzchnię mięsa, aż do puszczenia soku, poczem należy pokryć dno beczułki, lub miski cienką warstwą przetłuczonych korzeni, ułożyć ściśle warstwę mięsa, znów dać korzenie, mięso i korzenie. Bezpośrednio na mięsie układamy drewniane denko i przyciskamy je kamieniem.

W ten sposób przetrzymuje się szynki 2 — 3 dni, a po upływie tego czasu zalewa „ropą” i rozpoczyna codzienne przekładanie warstw wierzchnich na spód i odwrotnie, aby mięso równo słońiało.

Naczynia z mięsem trzymamy w suchym, przewiewnym chłodzie, osłonięte przed dopływem po- wietrza i ewentualnem zanie- szyczeniem. Wilgotne piwnice są niewskazane, gdyż ropa łatwo pleśnieje pod wpływem wilgoci.

Okres solenia trwa przy mniej- szych szynkach, lub większych, przeznaczonych na prędze uży- cie od 2 — 3 tygodni. Szynki prze- znaczone do wędzenia i dłuższego przechowania trzymamy w soli do 6 tygodni.

Wyjęte z marynaty czyścimy nożem z korzeni, obcieramy do su- cha czystym płótnem i zawieszamy na kilka dni w chłodnym przewie- wie. Dopiero tak obsuszone są od- powiednie do wędzenia.

W mieście samo wędzenie nie przedstawia żadnych trudności. Oddajemy prosto zamarynowa- ne mięso do rzeźnika i odbieramy je gotowe do spożycia na surowo, pieczenia, lub gotowania. Inaczej na wsi. Tutaj musimy dać sobie sa- me radę, a nawet posiadając do- brze zbudowaną wędzarnię, znać się na rodzaju drzewa, lub trocin, używanych do wędzenia, umieć wypośrodkować czas wędzenia,

Nieraz

*sprawia zestawienie dań obiado- wych dużę kłopotu temu, kto nie wie, że w każdym sklepie kolon- jalnym otrzymać można 12 gatun- ków różnych smacznych **z up** „KNORR”. Prosimy przekonać się o znakomitej jakości tych zup. Jedna kostka wystarczy na dwa talerze doskonalej zupy i kosztuje **tylko 20 groszy.***

rodzaj dymu (zimny, średni, lub gorący).

Najodpowiedniejszym drzewem do wędzarni będzie zawsze drzewo twarde: bukowe, dębowe, albo ol- szowe. Drzewa przesyconego ży- wicą (sosna, jodła, świerk) nie u- żywa się jako opału w wędzarni, gdyż daje dużo dymu o swoistym aromacie, przytem nadaje wędli- nom kolor wybitnie ciemny i nie- miły zapach.

Zasadą wędzenia, której jednak nie należy trzymać się bez odchy- leń jest: 3 do 4 dni dla szynek do gotowania i na szybkie zużycie; około 3 tygodni dla szynek, które mamy przechowywać; 2 tygodnie dla polędwic, ozorów i mniejszych sztuk wogóle. Zresztą trudno ozna- czyć drobiazgowo czas wędzenia poszczególnych gatunków wędli- ny zależny on jest bowiem od ro- dzaju wędzarni i temperatury dy- mu. Jedynym wskaźnikiem będzie tutaj doświadczenie nabyte na podstawie praktyki.

Trwałość wędlin zależy w dużej mierze od umiejętnego przechowa- nia. Nie należy układać ich, a rozwieszać i to nie na hakach wbi- tych w ścianę, a na drążku, lub haku umieszczonym w suficie. Wędlina nie powinna przylegać do ściany, musi być zawieszona tak, aby powietrze miało dostęp ze wszystkich stron. Wystrzegajmy się też dla naszych mięsnych za- pasów ciepła i wilgoci, pod wpły- wem których psują się i pleśnieją w szybkim tempie.

Sam proces wędzenia odbywa się jak niżej:

Po zawieszeniu szynki w węd- zarni na hakach, podpala się nie- wielki ogień, pod wpływem któ- rego mięso nie powinno się piec, a tylko obsuszać po wierzchu. Po obsuszeniu szynki usuwamy nie- wypalone drzewo, pozostawiając w palenisku tylko rozżarzone wę- gle, które posypujemy warstwą zwilżonych trocin z dodatkiem ja- gód jałowcowych. W ten sposób otrzymujemy zimny dym, w któ-

rym szynki wędzą się powoli, nabierają pięknego koloru i nie wysychają. Przed zabraniem gotowych szynek z wędzarni trzeba wymieść wszystkie ogień z paleniska, a szynki pozostawić tak długo na hakach dopóki zupełnie nie wystygną. Zbyt gwałtowna zmiana temperatury, na jaką narażamy szynki wyjmując je gorące z wędzarni, powoduje zmianę koloru.

W. D.

Przepisy kulinarne

WĘDLINY.

Szynka cielęca. Mięsią, białą ćwiartkę cielęciny, wagi około 5 kg. oczyścić, skrobiąc nożem (nie myć!) poczem natrzeć mocno solą wymieszaną z drobno utłuczonym saletrą i cukrem i grubo przetłuczonymi korzeniami.

Na 5 kg. mięsa wziąć:

2 łyżki soli,

1½ dk saletry,

łyżeczkę cukru,

łyżeczkę kolendru,

kilka goździków,

kilka ziarn pieprzu i ziela angielskiego,

kilka listków bobkowych.

Wcierać sól z przyprawami i saletrą tak długo dopóki mięso nie puści soku.

Ułożyć cielęciny w dużej misce kamiennej, albo drewnianej faszeczce, zalać zimną ropą przygotowaną z litra wody i dwóch łyżek soli razem zagotowanych. Przykryć denkiem drewnianym, przycisnąć kamieniem, ustawić w chłodzie. Zasadniczym warunkiem przy peklowaniu niewielkiej ilości mięsa naraz, jest obowiązkowe, codzienne obracanie szynki, od którego zależy równe przesycenie solą.

Po upływie dwóch tygodni szynka cielęca jest już gotowa do użycia. Trzeba ją wyjąć z sosu, wymyć w zimnej wodzie, obetrzeć do sucha i oczyścić powierzchnię z korzeni. Można ją obwędzić w lekkim dymie, lub użyć wprost z sosu, niewędzoną.

Szynkę cielęcą gotuje się, lub piecze oblepioną ciastem z razowej mąki. Pieczona jest lepsza, gdyż zachowuje w sobie wszystkie soki.

Ciasto przyrządza się z razowej mąki żytniej z dodatkiem zimnej wody. Dobrze zagniecione rozwałkować, ułożyć na nim szynkę, szczelnie oblepić. Piec w dobrze gorącym piecu około 5 godzin. Zdejmować ciasto natychmiast po wyjęciu z pieca. Zwilżyć powierzchnię mocnym rosółem cielęcym.

Szynki wieprzowe. Najsmaczniejsze są szynki z wieprza rocznych podtuczonych.

Soląc szynki zachowujemy następującą proporcję: 6 kg. mięsa, 35 dkg. białej, grubej soli kuchennej, 2 dkg. sproszkowanej saletry, 5 dkg. cukru miążkiego, 2 łyżki grubo przetłuczonego kolendru, kilkanaście ziarn pieprzu, ziela angielskiego i goździków również grubo przetłuczonych. Mieszanie tę wcierać dłonią w powierzchnię szynki dopóki mięso nie zwilgotnieje.

NA WIOSNĘ ILATO

NOWE NAJMODNIEJSZE WŁÓCZKI
DO ROBÓT RĘCZNYCH:




BALLADYNA
LNIANO-WĘLNIANA WŁÓCZKA
FANTAZYJNA

FRASCATI
WŁÓCZKA JEDWABNA Z PRZE-
DZONEGO JEDWABU IZTUCZ-
NEGO W JAJNYCH, PAITELOWYCH
KOLORACH

MARLENA
ANGORA-MELANGE W NO-
BLYWYCH KOLORACH WG. WIKA-
ZÓWEK PARYŻA.

ELEKTRA
NOWOCZESNA WŁÓCZKA -
OITATNIE IŁOWO MODY.

NOWE PIĘKNE KOLORY
WŁÓCZKI JEDWABNEJ
MADAME DUBARRY
BLICH Z KOLOROWYM JEDWABEM.

NOWA WĘLNA DO CEROWANIA
"4. PODWÓJNE NITKI"
OJCZĘDZNA I TRWAŁA.

WŁÓCZKI - WĘLNY
TROJKĄT - KOLE
SPA.KC. BIELSKO.

Nasoloną szynkę ułożyć ściśło w odpowiedniej wielkości naczyniu. Powinna przykryć szczelnie do ścianek naczynia. Dno naczynia posypać warstwą soli wymieszanej z dodatkami, ułożyć na niej szynkę, znów posypać solą z korzeniami i listkami bobkowymi. Przykryć drewnianym denkiem, przycisnąć kamieniem. Trzymać dobę w pokojowej temperaturze, poczem wynieść do zimnej, suchej piwnicy, lub śpiżarni. Obracać codziennie, polewając ropą (sosem, jaki się wytworzy).

Po upływie trzech do czterech tygodni szynka jest już gotowa do użycia. Trzeba ją wyjąć z sosu, oczyścić nożem z korzeni, obsuszyć na otwartym powietrzu i wędzić, albo też gotować wprost z sosu, po oplókanu w zimnej wodzie.

Szynki przeznaczonych do wędzenia i przechowywania płókać nie należy, bo są mniej trwałe.

Tak przyrządzoną szynkę można gotować, albo piec oklejona ciastem z razowej mąki. Przed gotowaniem moczyć 12 godzin w zimnej wodzie, a po ugotowaniu studzić w sosie.

Pekeflajsz wołowy. Na pekeflajsz najodpowiedniejsza jest krzyżówka tłusta i soczysta.

Proporcja jest następująca: na każde 5 kg. mięsa 4 kg. białej grubej soli, 2 dkg. miążkiego cukru, 1 tdkg. miążko tłuczonej saletry, łyżeczkę kolendru, parę goździków, dużą łyżkę pieprzu i ziela angielskiego, kilka jagód jałowcowych, kilka listków bobkowych.

Wymieszać sól z saletrą, cukrem i korzeniami. Wcierać mocno ręką w mięso dopóki wszystka sól nie wyjdzie, a mięso nie zwilgotnieje.

Ułożyć w misce kamiennej, albo niewielkiej faszeczce z drzewa dębowego, postawić na 24 godziny w temperaturze pokojowej, a po upływie tego czasu zalać wystudzoną ropą przygotowaną z litra wody, łyżeczki soli i łyżeczki saletry.

Ropą nazywamy wodę przegotowaną z wyżej wymienionymi dodatkami.

Zalane sosem mięso przykryć denkiem drewnianym, przycisnąć kamieniem, albo innym ciężarem, postawić w zimnej śpi-

żarni, piwnicy, albo nieopalonym pokoju. Trzymać 2 tygodnie w sosie.

Równocześnie z pekeflajszem można też marynować ozory wołowe, używając tej samej proporcji soli, saletry i przypraw co do solenia mięsa wołowego. Ozory są gotowe do użycia już po 10 dniach. Używa się je wprost z sosu gotowane i na gorąco, albo też wędzi w pęcherzu.

Kielbasa wielkanocna. Proporcja: 3 kg. wieprzowiny 1 kg. słoniny, 10 dkg. soli, 1 i ½ dkg. majeranku, 3 dkg. pieprzu, szklanka rosółu wieprzowego. Pokrajać w drobną kosteczkę mięso wieprzowe z przedniej szynki, lub schabu i słoninę. Wsypać dodatki, wlać rosół, wyrobić rękami, jak ciasto, aby się wszystko doskonale połączyło i trochę zmacerowało. Tak przyrządzonym mięsem napędzać doskonale wymyte, wymoczone i osączone kielbaśnice. Nie napychać zbyt silnie, aby nie popękały w gotowaniu. Robić kielbasy jednakowej długości, wiązać je w wiązki, to znaczy łączyć końce. Gotowe zanurzyć w zimnej wodzie na 15 minut, poczem rozwiesić na drążkach w zimnej śpiżarni, żeby obeschły powierzchnię.

Przed pieczeniem, smażeniem, lub gotowaniem w sosie, rzucić na wrzącą wodę i raz zagotować.

Kielbasy wędzone. Proporcja: 4 kg. wieprzowiny (schabu) 1 kg. słoniny, 15 do 20 dkg. soli, 1½ dkg. saletry, 1½ dkg. pieprzu kilka ziarn ziela angielskiego.

Pokrajać drobno mięso i słoninę, wsypać dodatki, wyrobić. Wlać duży kieliszek araku, znów wyrobić. Napędzać cienkie kielbaśnice, wiązać w wiązki. Gotowe kielbasy obsuszać na wietrze kilka dni poczem wędzić 4 dni w wolnym dymie. Można używać zaraz po wędzeniu, lub też obsuszać jeżeli mają być przechowywane.

Melba.

|||
Jak wykonać cały szereg wykwintnych modnych rzeczy, nauczy Panie książeczka p. t.:

„Artystyczne pikowanie”

w opracowaniu
T. GŁĘBOCKIEJ

cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

**Do nabycia w Tow. Wydaw.
„BLUSZCZ”**

Mody wiosenne



Elegancki kostjum wiosenny z modnymi rękawami i wyłogami



Nr. 1. Podróżny płaszcz z ciemno-piaskowej grubej wełny, wykończony stębnówką i paskami skórzanymi w pasie, przy mankietach i przy wyłogach.

Nr. 2. Miła sukienka przedpołudniowa z niebieskiej wełny, z tunika, przybrana plisami.



Nr. 3. Sukienka poobiednia z modnego matorowego jedwabiu w kolorze ceglasto-czerwonym. Oryginalne wymarszczenie rękawów i przodu.



Nr. 4. Elegancki komplet spacerowy, składający się z sukni (eventualnie spódnicy i bluzki) oraz żakietu trzyćwiórnego szaro-zielonego z brązowymi guzikami i brązowym paskiem skórzanym.





Najnowsze modele
kapeluszy wiosennych